NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 15. września 1917. Nr. 37.

Z frontów bojowych.



Naprawianie zniszczonego rowu strzeleckiego na skalistym terenie Krasu. (Woj. kwat. pras.)

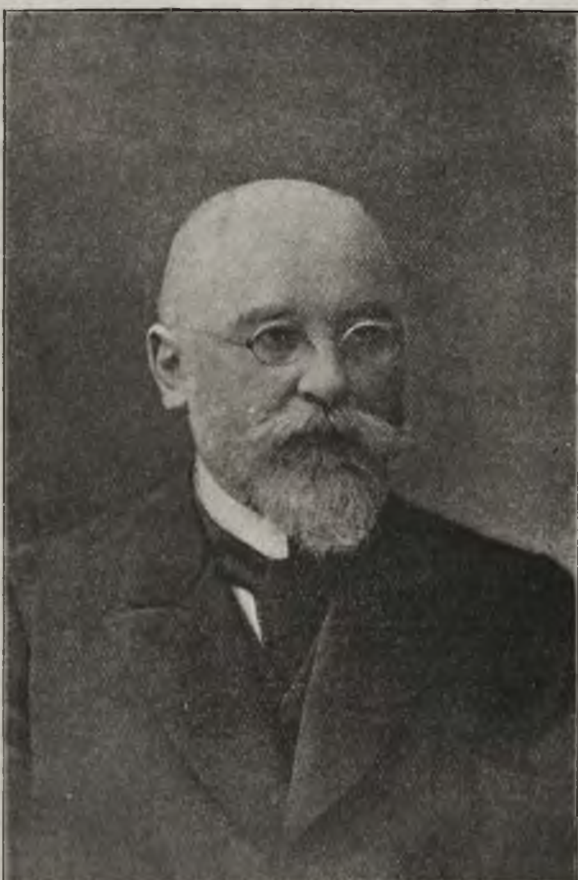
Z frontów bojowych.



Obrazki wojenne: Bułgarscy popisowi w drodze do swej komendy uzupełniającej. (Fot. Bufa)

W chwili, gdy cały świat zajmuje się sprawą noty pokojowej papieża Benedykta XV. i oczekuje z niecierpliwością dalszych odpowiedzi interesowanych, walka prawie na wszystkich frontach wre z coraz to większą zaciętością.

Na zachodnim terenie wojennym kontynuują Anglicy i Francuzi swą ofenzywę z mniejszem lub większem nasileniem i, mimo szalonych ofiar, nie zyskują bynajmniej żadnych większych sukcesów. Zdanie jenerała amerykańskiego, iż do przełamania



Rezygnacya prezesa Koła Polskiego: Dotychczasowy prezes, adwokat dr. Stanisław Łazarski

frontu niemieckiego w tych okolicach potrzeba przynajmniej piętnastu lat, zdaje się być opartem na dokładnem zbadaniu nieprzyjacielskich pozycyi.

Niespodzianką natomiast dla wszystkich, szczególniej zaś dla koalicyi, było zajęcie Rygi przez wojska niemieckie.

Dnia 1. b. m., przeprawiwszy się przez Dźwinę, wojska niemieckie zajęły Rygę i pędzą panicznym strachem zdemoralizowanego nieprzyjaciela przed sobą. Nowa więc klęska spada na Rosyę, a tem samem na czwórporozumienie — klęska tem boleśniejsza, że podobnie, jak poprzednie, zgoła nieprzewidywana. O tem bowiem, by Ryga miała upaść, nikt nie myślał. Jeszcze w r. 1915 dotarli Niemcy pod bramy miasta nadbałtyckiego, ale wziąć go nie zdołali. Może tylko nie chcieli?

Jakie cele miały mocarstwa centralne, gdy postanowiły obecnie, po dwu latach, przerwać zastój, który zapanował pod Rygą, trudno oczywiście odgadnąć. Jak daleko zapędzą się nowe ich zagony, to także tajemnica. W każdym razie godzi się zwrócić uwagę na wielką doniosłość, przypisywaną temu punktowi ze strony rosyjskiej. Wszakże niewiele jeszcze dni temu, Kierenskij na kongresie moskiewskim z takim naciskiem wywodził, iż dopóki Rygi nie zabrał nieprzyjaciel, Petersburg może spać spokojnie.

W chwili, kiedy *entente* zużyła najlepsze swe siły w ofenzywach na zachodzie i na froncie południowo-zachodnim, uderzenie przez przeciwnika wykonane na froncie północno-wschodnim jest tem niebezpieczniejsze, iż może doprowadzić do konsekwencyi bardzo niemiłych dla wroga, lecz bardzo korzystnych dla sprawy pokoju.

Na froncie południowo-zachodnim armia austryacko węgierska stawia mężnie czoło Włochom, którzy za każdą cenę postanowili w jedenastej bitwie nad Soczą zdobyć Tryest.

Tutaj w ubiegłym tygodniu oczy wszystkich zwrócone były na Monte San Gabriele. Wzgórze to stało się dymiącym wulkanem, który przez dni jedenaście zionął bez przerwy ogniem i dymem, a dnia 4. b. m. najgwałtowniejszą, jaką wyobrazić sobie można, wstrząsnął się erupcyą. Lecz nie przyroda w swem rozjuszeniu, jeno ludzie sprawili ów wybuch. Walka to straszliwsza ponad wszelkie opisy i daleko sięgająca poza ramy lokalnego starcia. Dzielność wojsk austro-węgierskich szybko położyła koniec „drżeniu radości w sercach włoskich", przeczucia obróciła w pewność, ale nie taką, jaką przewidywano po przeciwnej stronie, jeno we wprost



Obrazki wojenne: Komendant, składający na twarzy dekorowanego żołnierza pocałunek „w imieniu ojczyzny". (Według włoskiej illustracyi) (Woj. kwat. pras.)

odmienną. Podziwiać wypada tę niezłomną moc oporu, którą tu okazano, broniąc eksponowanej placówki przed pełnym rozjuszenia naporem nieprzyjacielskim. Z zaciekłością, na jaką zdobyć się może tylko rozpacz, uderzały coraz nowe fale wojsk włoskich o skalistą górę; ledwie odepchnięte, powracały na nowo, a gdy jedne padły pokotem, zjawiały się inne i jeszcze inne — i tak w nieskończoność. Bywały już chwile, gdy zdawało się, że Monte San Gabriele nie ujdzie smutnego losu. Uszedł przecież i dzisiaj, jak z najnowszych komunikatów wynika, uważać już można za rzecz pewną, że nie wpadnie w ręce wroga.

Na innych frontach bojowych, więc w Galicyi, na Bukowinie, w Rumunii, Macedonii i Palestynie, toczyły się tylko walki na mniejszą skalę. Wypadły one na ogół na korzyść mocarstw centralnych.



Z frontów bojowych: Widok placu Targowego w St. Quentin w czasie ostrzeliwania miasta przez Francuzów. (Fot. Bufa).

Rezygnacya prezesa Koła Polskiego.

Prezes Koła Polskiego, dr. Stanisław Łazarski, rozesłał pisma następującej treści:

„Do Wielmożnych Panów Wiceprezesów Koła Polskiego w Wiedniu.

Ponieważ dokonane w ostatnich dniach ugrupowanie stronniotw w Kole Polskiem niewątpliwie wyłoni potrzebę zmiany w zasadach i osobach kierownictwa tegoż Koła — przeto pragnąc umożliwić jak najrychlej P. T. Członkom Koła wolną rękę swobodnego wyboru, składam niniejszem powierzone mi obowiązki prezesa Koła, a zarazem zarządzam posiedzenie Koła, celem przyjęcia mej rezygnacyi i powzięcia dalszych uchwał, na dzień 15. września 1917 o godzinie 10 przed południem w sali Koła Polskiego w Wiedniu.

Kraków, 4. września 1917.

Dr. Stanisław Łazarski".

„Posiedzenie Koła Polskiego odbędzie się dnia 15. września 1917 o godzinie 10 przed południem w sali Koła Polskiego w Wiedniu.

Porządek dzienny: 1. Załatwienie rezygnacyi Prezesa Koła; 2. Uchwały w sprawach politycznych i gospodarczych.

Dr. Stanisław Łazarski".

Rezygnacya prezesa Koła Polskiego nie jest bynajmniej niespodzianką dla polskich kół poselskich, jest bowiem konsekwencyą wydarzeń z dnia 2. września.

Wybór nowego prezesa nada Kołu i na zewnątrz zdecydowane oblicze, zgodnie z przesunięciem się punktu ciężkości w stronę nowej większości. Podobno i demokracya polska odczuwa potrzebę nawiązania ściślejszej łączności z nową większością, a to na zasadzie deklaracyi, zgłoszonej przez posła Jahla w dniu 2. września.

Usunięcie się natomiast konserwatystów od współpracy w Kole Polskiem uważane jest za nieprawdopodobne.

Dzień 15. września nada więc Kołu zgoła różny od obecnego charakter, przyniesie także daleko idące zmiany w składzie jego komisyi parlamentarnej.

Nasi nad Soczą.

W ciągu jedenastej bitwy nad Soczą odznaczył się chlubnie i galicyjski pułk piechoty nr. 56, rekrutujący się z Wadowic i okolicy.





Nasi nad Soczą: Komendant 56 p. p. z swym adjutantem. Msza polowa poza frontem w dniu urodzin cesarza Karola.

Od chwili wybuchu wojny na froncie, raz na tym, to znów na owym, wszędzie popisał się nale życie, zyskując sobie uznanie i budząc szczery podziw swem męstwem i wytrwałością.

Gdy zdawało się, że fala nieprzyjacielska zaleje i Kraków, wtedy żołnierz tego pułku bagnetem utorował drogę armii oswobodzicielskiej, biorąc brawurowym szturmem wzgórze „Pustki" pod Gorlicami i odtąd bez wytchnienia ścigał ustępującego wroga.

Stamtąd poszedł do wschodniej Galicyi, a zmuszony opuścić swe stanowiska, bronił się z bezprzykładnem bohaterstwem i poświęceniem.

W zimie 1916 roku, tak srogiej, jakiej ludzie nie pamiętali, pułk zajął pozycye w Karpatach. Tu



Z frontów bojowych: Patrol bułgarski, badający z wałów starej cytadeli zatokę i okolice Kawalli. (Fot. Bufa).



Obrazki wojenne: Jenerał Litzmann, jeden z dowódców niemieckich w Galicyi wschodniej, przejeżdża przez most pontonowy na Dniestrze. (Fot. Bufa).

musiał walczyć z podwójnym wrogiem: z człowiekiem i naturą. Moskala bił na głowę, jeszcze łupy i niewolnika przyprowadzał.

Już wiele pułk otrzymał pochwał, ale i to jest niezbitym dowodem zaufania do dzielności szarych szeregów „Jacków", że dzisiaj jeden z najważniejszych odcinków frontu Soczy spoczął w ich rękach.

W jedenastej ofenzywie włoskiej stał bez przerwy przez trzy dni w szalonym orkanie artyleryi nieprzyjacielskiej, która rowy, kute w skale, zamieniała w jedno wielkie rumowisko. Choć o dowozie żywności nie było mowy, wytrwał na posterunku, nie cofając się ani na krok.

Dowództwo 56 p. p. dzierży w swem ręku pułkownlk Wohlang, którego doświadczeniu i znakomitemu kierownictwu wiele sukcesów pułku przypisać należy.



Zgon polskiego uczonego: Profesor fizyki i rektor Uniwersytetu Jagiel., dr. Maryan Smoluchowski.

Zgon polskiego uczonego.

Ciężką żałobą okryła się znów krakowska *Alma Mater*. Czarna chorągiew, zwisająca ponuro z jej szczytu, zwiastuje smutną wieść o zgonie uczonego, prawdziwej chluby krakowskiej najwyższej szkoły i polskiej nauki, której sławę rozniósł szeroko po świecie.

W pełni męskiego wieku, bo przeżywszy zaledwie czterdzieści pięć lat życia, zmarł w Krakowie profesor fizyki doświadczalnej i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego na rok 1917/18. dr Maryan Smoluchowski. Padł ofiarą szerzącej się w mieście i okolicy epidemii czerwonki.

S. p. profesor Smoluchowski, jako docent uniwersytetu wiedeńskiego powołany został na katedrę fizyki teoretycznej we Lwowie, gdzie pełnił z wielkim pożytkiem dla rozwoju polskiej nauki obowiązki profesorskie. W r. 1907 wybrany dziekanem lwowskiego wydziału filozoficznego, przewodniczył także Towarzystwu przyrodników im. Kopernika. Gdy po śmierci ś. p. profesora Witkowskiego zawakowała w Krakowie katedra fizyki doświadczalnej, Uniwersytet krakowski zaprosił prof. Smoluchowskiego do jej objęcia. Posłuszny wezwaniu, przybył do naszego miasta i tutaj kontynuował swą owocną działalność naukową i pedagogiczną, pracując niestrudzenie aż do ostatnich prawie chwil życia w umiłowanym zawodzie.

Jaką sławą cieszył się ś. p. prof. Smoluchowski w całym naukowym świecie, tego dowodem cały szereg odznaczeń, jakie osiągnął. Uniwersytet w Glasgowie mianował go swym doktorem honorowym, rownież najpoważniejsze instytucye fachowe Austryi, Niemiec i Francyi zaliczały go w poczet swych członków, a krakowska wszechnica obrała go swym rektorem na rok akademicki 1917/18. Niestety, nie danem Mu było objąć agendy rektorskie, nieubłagana śmierć przecięła niespodziewanie nić pracowitego żywota.

W swoim czasie był ś. p. prof. Smoluchowski jednym z najpoważniejszych kandydatów do objęcia katedry fizyki na uniwersytecie wiedeńskim, wolał jednak pracować dla swoich i wśród swoich.

Cześć Jego pamięci!



Z frontów bojowych: Skutki uderzenia granatu włoskiego w Tryeście. (Woj. kwat. pras.)



Obrazki wojenne: Sortowanie zdobyczy wojennej na pobojowisku pod Horodenką. (Fot. Bufa)

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

15

Józia zastanowiła się przez chwilę.

— Ej! nie... owszem... robiłabym sobie...

Łuniewski sam się zdumiał, że mu nagle serce zakołatało, jak oszalałe.

— Chodziłoby pani o to? — rzucił prawie bez tchu, wściekły na siebie, że głos przybrał jakieś dźwięki nienaturalne.

— A tak... teraz musiałoby mi o to chodzić...

Zrozumiał, co miała na myśli; i hamowanym gniewem potrącił stopą jakiś kamyk.

— Pani myśli, że jabym poszedł do pani Żarnickiej na skargę?!

W głosie jego zadźwięczało takie rozdrażnienie i taka silna uraza, że Józia przestraszyła się i zawstydziła własnego nietaktu.

Żywo odwróciła ku Łuniewskiemu głowę.

— Ależ ja to nie tak myślałam... Doprawdy, pan mnie źle zrozumiał... Niech się pan nie gniewa... Proszę...

Zrobiła śliczną, przymilną minkę dziewczynki, która była niegrzeczna i przeprasza — i spojrzała mu tak słodko, tak prosząco w oczy, że odrazu stopniała w nim wszelka uraza.

— Ja się nie gniewam... Na panią nie można się gniewać... zresztą...

— Ach!... gdzież tam!... — westchnęła — można się gniewać i niejeden się gniewa... Ale między nami zgoda?

— Zgoda, pani Józiu...

— Gorąco!... — powiedziała Józia i podniosła rękę w białej, nicianej rękawiczce do czoła.

Łuniewski przy tej sposobności dojrzał, że rękawiczka ma pocerowane końce palców.

Uderzył go ten szczegół u synowej bogatej Żarnickiej, u bratowej ubranej z wykwintną elegancyą panny Loli.

Dopiero teraz zwrócił na to uwagę, że całe ubranie Józi odznacza się jakąś pensyonarską skromnością i odcina jaskrawo od pięknych tualet starszej pani Żarnickiej i jej córki.

— Jej i w tem ślicznie — myślał — ale to charakterystyczne, jak ją traktują... Cóż, ten gagatek Zarnicki sam jest jeszcze na utrzymaniu u matki... Ciekawym, czy ona się doprawdy w nim tak bardzo rozkochała, w tym łykowskim donżuanie?...

Głośno myśl Łuniewskiego wyraziła się w zapytaniu:

— Czy pani męża swojego poznała w Krakowie?...

— Nie, w Pradze.

— Na uchodźtwie.

— Tak.

— Ileż pani wtedy miała lat?!

— Siedmnasty...

— I już się państwo wtedy zaręczyli?...

Józia spojrzała na niego trochę z boku i przez chwilę nie odpowiedziała.

— Proszę pana — wyrzekła wreszcie — niech się pan nie obraża, ale... co panu do tego — gdzie to było, jak... kiedy?... To są przecież bardzo osobiste sprawy, których się nikomu przy pierwszej, czy drugiej rozmowie nie opowiada...

Łuniewski poczuł, że czerwieni się, jak sztubak.

— Ma pani zupełną słuszność... Byłem niedelikatny i przepraszam panią...

— Niema pan za co przepraszać, tylko, doprawdy, ja panu na takie pytanie ni stąd ni zowąd odpowiedzieć nie mogłam, a wykręcać się — nie chciało mi się...

Umilkli znowu. Weszli teraz w ulicę, na której panował bardzo ożywiony ruch i Józia przypomniała sobie o swoich kwiatach.

Właśnie wprost ku niej szedł jakiś robotnik w niebieskiej, zasmolonej bluzie, z workiem przerzuconym przez ramię.

Józia podbiegła do niego ze słodkim uśmiechem...

— Proszę pana, jeden kwiatek... Na sieroty... Tylko dziesięć halerzy...

Robotnik w pierwszej chwili nachmurzył się i żachnął, ale, spojrzawszy w niebieskie oczy kwestarki, złagodniał i uśmiechnął się...

— O! nie... Ja panu sama przypnę. — Zaraz tu wyszukam ładny, najładniejszy...

Wzięła jedną gałązkę i przypięła ją szpilką do niebieskiej bluzy, chociaż robotnik bronił się.

— Nie!... nie!... panienka się pobrudzi... ja prosto od roboty... węgle nosiłem...

— Nic nie szkodzi... O! Widzi pan, jak ładnie!

— Dziękuję pani. — Do widzenia.

— Do widzenia.

Pożegnali się przyjaznymi uśmiechami: Robotnik zdjął kapelusz i ukłonił się, a Józia wdzięcznie skłoniła główkę.

Łuniewski obserwował z zajęciem tę małą scenkę.

— Dostała pani komplement — powiedział.

— Takie najbardziej lubię, bo są przynajmniej szczere...

— Ależ pani umie sobie radzić z ludźmi!...

— Nie ze wszystkimi...

Coś się jej nagle przypomniało, przyspieszyła kroku.

— Chodźmy prędzej — powiedziała tonem, w którym przebijał wyraźny niepokój.

— Spieszy się pani?...

— Tak... tak...

Zaczęła iść z nerwowym pospiechem. Wyrazista twarz zmieniła się znowu. Dolna warga drgała lekko, brwi to zbiegały się — to rozsuwały.

Łuniewski patrzył na nią zdziwiony. Co się jej stało?

Skręcili teraz w przecznicę, wiodącą ku rynkowi i zobaczyli tuż przed sobą pannę Micię Kożuchowską z jej towarzyszem...

Łuniewski lekko uchylił kapelusza, pan Potyrowski ukłonił się bardzo nisko, ale zaraz, unikając spojrzenia Juliana, obrócił się w inną stronę i z wielkiem zainteresowaniem wpatrzył się w szyld nad jakimś sklepikiem.

— Dzień dobry państwu — zadzwoniła swoim cienkim, nieco piskliwym głosem panna Micia —

— O! Ale pani się udało... koszyczek prawie próżny... Musieli państwo być gdzieś daleko... Pewnie aż za miastem... A tu na panią oczekują z niecierpliwością!... Pani Żarnicka jest już niespokojna, a Lola mało oczu nie wypatrzy...

Zaśmiała się bez wyraźnej przyczyny i, uderzając swoimi nadmiernie wysokimi obcasami o bruk, poszła dalej.

— Panie Łuniewski, chodźmy, chodźmy prędzej — gorączkowała się Józia — Rzeczywiście zadługo byliśmy... Mój Boże...

Delikatna, różowa mgła, jaką Józia przyniosła z tej przechadzki, uciekła z jej twarzy. Młoda kobieta pobladła i zębami przycięła dolną wargę, która drżała nerwowo.

Oczy jej rozbiegały się, jak u przestraszonego dziecka.

Wyobrażała już sobie, co ją czeka w domu za powrotem...

Łuniewski zrozumiał teraz jej niepokój i zdenerwowanie.

Zatargało nim współczucie i wezbrał w nim gniew na Konrada Żarnickiego.

— A to ją zostawił!... a to ją urządził!... Osioł!... Oni ją tutaj poprostu maltretują! Czy ona doprawdy nie ma nikogo, ktoby się za nią ujął?!...

Józia szła tak prędko, że biegła prawie. Łuniewski delikatnie dotknął jej ramienia.

— Pani Józiu, niech się pani uspokoi... Niech pani tak nie biegnie... Ludzie zwracają uwagę i dziwią się...

Spojrzała na niego i zwolniła trochę kroku.

— Tak.., słusznie.,. dziękuję panu...

Julian patrzył na jej pobladłą twarz, drżące usta, zmącone niepokojem źrenice i czuł, że jakaś gorąca, wilgotna mgła zaczyna mu przysłaniać oczy.

— Boi się pani? — zapytał cicho, nie myśląc o tem, że znowu popełnia niedyskrecyę.

— Boję się.., — wyrwało się Józi...

— Biedne, biedne dziecko... — zaszeptał tak cicho, że ona już tego nie słyszała.

Teraz Łuniewski bardzo szybko, gorączkowo, jakby bojąc się stracić choćby jedną chwilę czasu, zaczął mówić:

— Czy pani często chodzi na zamiejskie spacery?...

— Wtedy byłam po raz pierwszy... Chodźmy prędzej...

— Nie możemy lecieć, jak waryaci... Zdążymy... Kiedy pani znowu pójdzie?...

— Nie wiem.

— Ale pani pójdzie?...

— Jeżeli będę mogła... chciałabym...

— Koniecznie pani powinna!... Pani trzeba ruchu, świeżego powietrza... Pójdzie pani jeszcze?...

— Pewnie pójdę...

— Kiedy?... kiedy?...

— Może jutro... może pojutrze... może dopiero w przyszłym tygodniu... Bo ja wiem... Panie! Spieszmy się!...

— Już jesteśmy. Już rynek. O! widzi pani — świekra rozmawia z jakąś panią, a panna Lola doskonale bawi się z Władkiem.

Rzeczywiście Lola, spostrzegłszy zdaleka Łuniewskiego z bratową, zaczęła się głośno śmiać, dowcipkować i rozmawiać z Władkiem z niezwykłem ożywieniem.

Udawała, że nie widzi nadchodzących, tylko oczy błyszczały jej, jak rozżarzone węgle.

— A, jesteście państwo... Nareszcie... — powiedziała pani Żarnicka, mrużąc lekko powieki.

Mówiła niby spokojnie, bez gniewu, ale Józia znała się już dobrze na odcieniach jej głosu i zadrżała.

— Przynosimy plon obfity... — powiedział Łuniewski, stawiając na stoliku puszkę.

I on starał się mówić spokojnie, ale brwi mu drgały.

Lola wciąż ostentacyjnie nie zwracała na niego uwagi i zaśmiewała się z konceptów Koszczyca.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Było już dobrze po północy, kiedy Julian Łuniewski i Władek Koszczyc, odprowadziwszy panią Żarnicką i Lolę, wracali do domu.

Duży, pyzaty księżyc prószył srebrzystą poświatę na opustoszałe, senne milczeniem miasto. W łagodnem, białem świetle nierówne, wadliwie wytyczone ulice, zaniedbane, miejscami wyszczerbione bruki i brzydkie, nieestetyczne domy łykowskie nabierały jakiegoś poetycznego, rozmarzającego uroku.

Łuniewski palił papierosa za papierosem i pogwizdywał przez zęby, co u niego było zawsze dowodem silnego podrażnienia nerwowego lub irytacyi.

Koszczyc natomiast był w doskonałym humorze i ze zwykłą sobie niefrasobliwą swadą wspominał przeżycia wieczoru, spędzonego w sali „Sokoła“.

— Ależ generał filantropek łykowskich, pani Kasztalińska, urządziła rewię, co się zowie!... „Żywe“ obrazy nadzwyczajne! Szczególnie panna Micia Kożuchowska, jako Zosia i ten Tadeusz — farmaceuta z krzywemi nogami, udali się jej!... Proponowano wprawdzie mnie tę rolę, merci bien! Nie miałem wcale ochoty urządzać maskarady! Zato doskonale bawiłem się na tem widowisku! A ty?

— Uhm... — mruknął Julian.

— A zwróciłeś uwagę na adjutanta Kasztalińskiej, na tę wystrojoną damę, która siedziała przy programach?... Jak to ona się nazywa?... Borejczykowa, czy Borejkowiczowa, czy coś podobnego... Mniejsza zresztą o nazwisko. Grunt dekoltaż non plus ultra i spódnica, osiągająca ideał krótkości... Całe szczęście przynajmniej, że nóżki wcale... wcale... Zauważyłeś, co?...

Łuniewski zamruczał coś znowu niewyraźnie, ale Koszczyc, nie stropiony milczeniem kolegi, ciągnął dalej:

— A jej mąż, pan Borejczyk czy Borejkowicz, to także wspaniały okaz!... Gruby, łysy, sapiący i zazdrosny jak Otello!... Rozwścieklone spojrzenia rzuca na każdego, kto się zbliża do jego żony, albo ośmiela się obserwować jej bujne wdzięki... Tylko, że „dobroczynna“ bardzo mało sobie z tego robi... To przecież wszystko na biedne dzieci... Miałem im ochotę zaśpiewać.

I Władek zaczął nucić kabaretową piosenkę:

„Jej mąż, ten zwykle oponował,
Kaleką się z wypadku stał
I, że za stary, nie tańcował,
Strój żony za zbyt krótki miał.

Lecz o tem pewnie wszyscy wiecie,
Że mąż swej żonie ma za złe,
Co w każdej innej mu kobiecie
Najbardziej och! podoba się.

Lecz ona na nic nie zważała,
Z współczucia wszak czyniła to:
I znowu kwiaty sprzedawała
Z uśmiechem, gdy zażądał kto...

Tak miękkie serce biło w niej
Dla ideałów duszy drogich,
Wszystko uczyni, wierzyć chciej,
Ach! byle tylko na ubogich...“

Przestał śpiewać, zaśmiał się i mówił dalej, zdając się nie spostrzegać, że rozmowa ta jest właściwie monologiem, bo Łuniewski w niej żadnego nie bierze udziału.

— Doktorowa Tyssowska, jako stała opozycyonistka, robiła „złą krew". Utrzymywała, że koszta oświetlenia, kostyumów, dekoracyi i wydatki administracyjne pochłonęły lwią część dochodu i że sieroty w „Żłóbku" nie dostaną prawdopodobnie więcej ponad dwadzieścia koron z halerzami... Trzeba było, przy tych rewelacyach widzieć minę Kasztalińskiej. Ha! ha! ha! Łuniewski nie tylko nie zawtórował towarzyszowi śmiechem, ale wogóle reagował na jego słowa tak, jakby ich nie słyszał.

Władek umilkł na chwilę, zapalił papierosa, a potem znowu zaczął, ale innym trochę tonem:

— Bardzo dobrze wyglądała Lola Żarnicka jako „wróżka"... Wiesz, że ona jest zupełnie przystojna i miła dziewczyna... Trochę za chuda, za blada, za anemiczna i, co prawda, zanadto jakaś taka chłodna. Ale ona się zmieni, bo temperament tam jest, o! jest...

Urwał, przeżuwał w milczeniu jakąś myśl, wreszcie od niechcenia rzucił pytanie:

— Czy panna Lola oprócz tego brata ma jakieś jeszcze rodzeństwo?

— Nie.

— Hm... a kamienica w doskonałym punkcie... dwupiętrowa, podobno bez grosza długu... Obiło mi się także o uszy, że są kapitały w gotówce... Słyszałeś coś o tem, co?...

— Aha...

— Więc panna Żarnicka jest zupełnie posażną panienką... Tylko ta mamusia... sprzedałbym ją poniżej ceny kosztu... za złamanego szeląga, albo za żelaznego centa... Ostatecznie jednak... Co myślisz o tem?

— Nic.

Władek spojrzał uważniej na kolegę.

— Dyabelnie jesteś lakoniczny... Jaka mucha cię ugryzła?... Przyznajno się szczerze, może ja ci wchodzę w drogę przy pannie Loli?...

— Dajże mi święty spokój z panną Lolą!...

— Więc nie?... Tem lepiej. Ale czegoś ty taki zły? Aha, domyślam się...

— Tylko nie staraj się być zanadto domyślnym, bo ci z tem nie do twarzy...

— Uuu!... Aleś ty porządnie zirytowany!... I wolałbyś, żebym się nie domyślał... A ja jednak odgaduję, o co chodzi... Na „żywych obrazach" brakło najpiękniejszego obrazu... Nie było jej!... Została w domu... za karę!...

Zaczął się śmiać i z filuternie łobuzerską miną zanucił:

„Młoda, ładna mężateczka,
Ach! to maślacz..."

— Słuchaj, Władek, przestań, bo mnie twoje kiepskie dowcipy nie bawią. Możesz nimi zachwycać tykowskie panny Tosie, Micie i Kicie, ale nie mnie!...

— Julek, zmiłuj się, toż ty parzysz dzisiaj, jak pokrzywa!... A minę masz taką, jakbyś się doprawdy tego... ten... O! to niebezpieczna bestyjka, ta piękna pani Józia...

— Głupiś! — rzucił jakimś świszczącym szeptem przez zęby Łuniewski.

— Bardzo jesteś uprzejmy, ale po starej przyjaźni nie obrażam się... A że ona niebezpieczna, to niebezpieczna, bo dyablo ponętna... Sambym się do niej brał, gdyby nie...

— Znasz ty piosenkę o Kohnie, który ma szalone szczęście do kobiet, bo, na którą spojrzy, to mu się każda podoba...

Tym razem Władek obraził się...

— No, mój kochany, niech ci się tylko nie zdaje, żeś dostąpił jakichś szczególniejszych łask u pani Konradowej... Ona nie jest taka nieprzystępna!... Pomimo swojej młodości i dziecinnej minki, ma już za sobą trochę burzliwą przeszłość... I to jej małżeństwo z Żarnickim to bardzo ciekawa historya!...

Łuniewski miał ochotę zamknąć koledze energicznie usta, a jednocześnie zapiekła go ciekawość... Może dowie się czegoś bliższego o Józi...

— Już widzę, żeś się nałykał plotek od kumoszek tykowskich...

— Przepraszam cię, wcale nie żadne plotki... Słyszałem te rzeczy od osób wiarogodnych i dobrze poinformowanych.

- No, cóż takiego na przykład słyszałeś?...

— Pani Józia jest córką radcy Maliniewicza z Krakowa... Jeszcze nie wyrosła z dziecinnych sukienek, a już znana była w całem mieście jako „dziewczę, z buzią jak malina"... i już wtedy próbowała siły swoich wdzięków na studentach i akademikach, czego jej zresztą nie można brać za złe... Szkół nie skończyła, bo... zaszły tam jakieś niepożądane komplikacye... W czasie ewakuacyi Krakowa wyjechała do Pragi i tam zawiązała romans z Żarnickim... Słyszałem nawet o grubej kompromitacyi...

— Brednie!...

— Wierz, lub nie wierz. Powtarzam to, co mi mówiono. Otóż o romansie szesnastoletniej podówczas córeczki dowiedział się tatuś, pono bardzo surowy, pospieszył nad Wełtawę, no i stało się, jak w poemacie nieboszczyka Sotera Rozbickiego: „lecz ojciec, o zgrozo, zagroził jej kozą"... Stosunki z Żarnickim zerwały się, co, jak słychać, było bohaterowi bardzo na rękę...

— Plotkarskie kłamstwo to aż piszczy w tem opowiadaniu...

— Taki jesteś tego pewny?... A jednak faktem jest, że panna Maliniewicz, po zerwaniu z Żarnickim, miała aż dwóch narzeczonych; jednego profesora gimnazyalnego i jakiegoś nauczyciela ludowego... Znam nawet ich nazwiska... Otóż za tego nauczyciela ludowego miała iść zamąż, ale coś tam zaszło i panna na dwa tygodnie przed ślubem uciekła do Żarnickiego...

— Tutaj, do Łykowa?!...

— Nie. Do Zakopanego, gdzie Żarnicki przebywał z matką. Miał się żenić z panną Masławską, ale obecna pani Konradowa narzuciła mu się w niesłychanie bezwzględny i natarczywy sposób... Ostatecznie, pod groźbą skandalu, małżeństwo doszło do skutku... Przyznasz, że na tak młode stworzenie krok był śmiały i ryzykowny i wskazywałby, że panna niewiele miała do stracenia...

Coś się w Łuniewskim targnęło, wzięła go nagle chęć zatrząść tak Władkiem, żeby mu jego jasny kapelusz spadł z głowy. Pohamował się wszakże i dość spokojnie powiedział:

— Mój drogi, nie baw się ty w psychologa... Chyba sam wiesz, że psychologia to nie twoja specyalność...

— Niepotrzeba tutaj żadnej psychologii. Dość spojrzeć pięknej pani w oczy, żeby spostrzedz, jakie tam dyabliki siedzą...

Łuniewski ziewnął przeciągle, jakby mocno znudzony.

— A niech sobie siedzą... — powiedział niedbale — co mnie to właściwie wszystko obchodzi.

Władek uśmiechnął się niedowierzająco i spojrzał na kolegę bokiem.

— Może cię i trochę obchodzi... Ale pozwól sobie powiedzieć, że się zabierasz do mężatki w bardzo niezgrabny sposób...

— Czyś zwaryował?! Ani mi się śni do niej zabierać!...

— Powiedz to komu innemu... Choć nikt inny nie wierzy, bo zanadto afiszujesz twoje... powiedzmy, zainteresowanie... Możesz ją narazić przez to na wielkie nieprzyjemności!...

Łuniewski sfałdował czoło w groźne zmarszczki.

— Co ci się znowu ubzdurało!... Władek, ty się robisz poprostu nieznośny, jak stara baba — plotkarka!...

— Radzę ci — uważaj! Mówię to przez życzliwość dla ciebie.

— Za życzliwość dziękuję ci, ale bez rad się obejdę...

— Jak wolisz...

Umilkli — obaj poirytowani... Koszczyc mniej, a Łuniewski bardzo silnie...

Rozmowa urwała się i dalszą drogę przebywali już w milczeniu.

Julian coraz energiczniej gwizdał przez zęby i tylko zaklął głośno ze złością, przekonawszy się, że papierośnica jego jest już pusta...

— Władek, masz papierosa?

— Mam, ale podłego.

— Wszystko jedno, dawaj!

Zapalił znowu i starając się opanować swoje wzburzenie, rozważał i kombinował.

Domyślał się, że w opowiadaniu Władkowem o Józi muszą być jakieś źdźbła prawdy, tylko przez famę plotkarską odpowiednio wydęte, przerobione i zjaskrawione.

— Muszę się dowiedzieć, co to było, jaka ona właściwie jest... Wydaje się taka szczera... Czyżby grała komedyę?... Chociaż po co ja o tem myślę, co mnie to, u dyabła, obchodzi...

Czuł jednak że go to obchodzi i bardzo nawet.

Młodzi ludzie skręcili w ulicę, przy której mieszkali. Uderzył ich tam oryginalny w swoim rodzaju widok.

Przez całą długość chodnika ciągnął się nieprzerwany wąż ludzki, który w zakrętach przechodził na drugą stronę ulicy.

W tłumie tym przeważną większość stanowiły kobiety. Niektóre były boso.

Jedne drzemały, stojąc, inne gryzły jakieś przyniesione ze sobą prowianty, inne jeszcze, rozmawiały, przy czem co chwila padały słowa dojmujących wyrzekań, niekiedy zaś dawało się słyszeć przekleństwo, groźba, złorzeczenie.

Na samym końcu długiego szeregu kilka kobiet śpiewało półgłosem pieśń nabożną:

„Pod Twoją obronę uciekamy się..."

— Co to znaczy? — zapytał Łuniewski — awantura jakaś, czy co?... W nocy takie zbiegowisko...

— Ależ to „ogonek" chlebowy — odpowiedział Koszczyc — na rogu jest piekarnia. Ci ludzie będą tak czekali do rana, póki piekarni nie otworzą.

— Przecież tu są stare, słabe kobiety i małe dzieci!...

— Spadłeś z obłoków, chłopie, czy co?! Nie wiesz, co się dzieje?! No tak, prawda, ty masz zawsze swoją białą bułeczkę!... — zadrwił Władek.

Julian zatrzymał się, przystanął i przypatrywał się czekającym przed piekarnią. Stał tak długą chwilę. Wreszcie zapytał jedną z kobiet:

— A jakby pani rano przyszła, nie byłoby dość czasu?

— A co też to pan mówi, jak dziecko!... Nie widzi pan, ile ludzi... Do rana będzie drugie tyle, a i tak połowa z niczem do domu odejdzie!...

— Ten pan to widać nie wie, co wojna — nie dopiekła mu! — odezwała się inna kobieta o zmizerowanej twarzy, ze złym, zgryźliwym wyrazem wąskich, zaciśniętych ust.

Po twarzy Łuniewskiego rozpostarł się gorący, różowy obłok.

Młody człowiek przesunął ręką po czole i zaklął głośno:

— Psiakrew!

Niewiadomo do czego, czy do kogo miało się to odnosić.

Łuniewski z Koszczycem skierowali się ku swojej bramie. Za nimi biegły szepty:

— Moja pani, nie wie też pani, kto to te panowie?

— Urzędniki z „cyntrali".

— A tak! Tacy, to mają wszystkiego zadosyć! I pewnie bogaci. Widziała pani, jaki to ten, co do mnie zagadał, miał gruby złoty łańcuch?...

— I takie młode, zgrabne chłopy, a w „cywilu"...

— Bo pewnie „lekramowani"...

— Moja pani, ja czterech synów posłałam na wojnę, a „lekramował" ich to kto?!

— Czterech synów, czterech... A żyją chociaż, piszą?

— Jeden „zginiony", drugi zaginiony, trzeci w niewoli u Moskala, a czwarty na „romuńskim" froncie...

Koszczyc dzwonił do bramy. Zanim zjawiła się stróżka, zazgrzytały wrzeciądze w sąsiednim domu i wysunął się stamtąd mężczyzna w kapeluszu, wciśniętym głęboko na czoło i pomimo tego, że noc była bardzo ciepła, otulony w luźny, szeroki płaszcz.

Księżyc świecił tak jasno, że Koszczyc zdołał spojrzeć temu mężczyźnie w twarz i poznał go.

Trącił Łuniewskiego łokciem.

— Widzisz, Potyrowski!... Czego on się tak szwenda po nocy... Wygląda, jakby się skradał... To jakieś ciemne indywiduum... Wiesz, ja coraz bardziej dochodzę do przekonania, że ten elegancki jegomość, a ów szuler od Grünapfla, to jeden i ten sam człowiek.

— Byłem tego pewien! — odpowiedział Łuniewski, sięgając do kieszeni po portmonetkę, aby dać stróżce „szpyrę".

ROZDZIAŁ IX.

„Aron Gelbfisz, skład rużnych towaruf, sprzedaż nafty, świec i mydła inne spożywcze towary"...

Tak opiewał szyld, wiszący nad sklepikiem, do którego wchodziło się po kilku wydeptanych, wykrzywionych, na pół zapadłych schodkach, przez drzwi o potłuczonej, zaklejonej papierem szybie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W ziemi obiecanej.

Pod powyższym tytułem zamieściliśmy w poprzednim numerze *Nowości Illustrowanych* kilka illustracyi i artykulik o stosunkach gospodarczych w Rumunii, którą nazywają jedni ziemią obiecaną, inni zaś spichrzem, przeznaczonym na zaprowiantowanie mocarstw centralnych.

Z owej luźnej wzmianki i kilku obrazków, sporządzonych według zdjęć fotograficznych, pochodzących z roku bieżącego, mogli się Czytelnicy przekonać, że mają słuszność ci, którzy Rumunię uważają za kraj w samej rzeczy mlekiem i miodem płynący i obfitujący właśnie w to, czego innym państwom europejskim brakuje, więc w pierwszym rzędzie w różnego rodzaju artykuły spożywcze, głównie zboże. Illustracye owe przedstawiają sceny z życia na folwarku, należącym do rumuńskich dóbr koronnych, w Segarcea, a malują tak dobitnie dobrobyt, jaki tam panuje,



W ziemi obiecanej: Młócenie pszenicy na łanie, należącym do folwarku królewskiego w Segarcea.

Wogóle władze okupacyjne, tak austryackie jak i niemieckie, nader baczną uwagę zwróciły na uprawę roli w Rumunii i hodowlę bydła, co, w wojennym czasie i bezpośredniem sąsiedztwie linii bojowej, połączone było z wielkiemi trudnościami. Starania uwieńczył pomyślny wynik. Według opinii osób, przybywających z Rumunii, tegoroczne żniwa wypadły bardzo pięknie, tak, że zbiory wystarczą nie tylko na zaspokojenie miejscowych potrzeb, ale zostanie jeszcze spora nadwyżka, którą będzie można użyć na pokrycie braków aprowizacyjnych w Austryi i Niemczech.



Z frontów bojowych: Kolumna szturmowa podczas ataku granatami ręcznymi na nieprzyjacielskie rowy strzeleckie.

Jak już poprzednio wspominaliśmy, w czasie, gdy kierownik rumuńskiej polityki, pan Bratianu, nie był jeszcze ostatecznie zdecydowany, za którą się oświadczyć stroną (złośliwi powiadają, która da więcej...), zboże tamtejsze szło w ogromnych masach na zachód i stanowiło bardzo poważną rubrykę w budżecie aprowizacyjnym mocarstw centralnych, na co krzywo patrzyła koalicya, stawiająca sobie za zadanie i ostateczny cel wygłodzenie przeciwnika. Używano więc najrozmaitszych wpływów i robiono Rumunii tak wspaniałe obietnice, że poprostu dziwić się należy, iż tak długo potrafiła się oprzeć podszeptom. Ale każdy Rumun to przedewszystkiem kupiec, na pierwszym planie u niego interes, potem dopiero polityka i to tylko w imię tego interesu, a bynajmniej nie jakichś ideałów. Licytowano się więc o rumuńskie sympatye i względy i ostatecznie zwyciężyła koalicya. Rumunia, mająca tyle do zawdzięczenia państwom centralnym, w szczególności Austryi, wypowiedziała im wojnę. Pierwsze kroki ofenzywy rumuńskiej były dla atakujących pomyślne, udało im się nawet wkroczyć w kilku miejscach do Siedmiogrodu, ale wnet odwróciła się karta i miejsce ofenzywy zajął odwrót ku granicy rosyjskiej. Większość kraju znalazła się w rękach mocarstw centralnych, które, zaraz po przywróceniu jakich takich możliwych stosunków, zabrały się intenzywnie do uprawy roli, hodowli bydła i t. d. i dziś obfite zbierają plony, ziemia bowiem rumuńska słynie z urodzajności i przy bardzo małym nakładzie pracy wydaje owoc, bez przesady stokrotny. I tem się to tłumaczy, że, pomimo znanego lenistwa i opieszałości Rumunów, którzy pod tym względem nie różnią się bynajmniej od reszty mieszkańców południa, rolnictwo u nich tak stoi wysoko. To zawdzięczają ziemi, zasługującej w samej rzeczy na nazwę obiecanej, i klimatowi, bynajmniej zaś nie staraniom i zabiegom miejscowej ludności.

Od niepamiętnych czasów zboże rumuńskie drogą na Morze Czarne lub Dunaj rozchodziło się po świecie, eksport zaś wzmagał się z roku na rok w miarę tego, jak zachód stawał się coraz bardziej przemysłowym. Z natury rzeczy, zaczęto więc wschód uważać za ten spichlerz, który ma zaprowiantować przemysłowy zachód, biorąc od niego w zamian jego wyroby. Jednym zaś z najbardziej rolniczych krajów, obok Rosyi południowej, jest bezwarunkowo Rumunia, posiadająca ogromne obszary pól uprawnych, na których udaje się zwłaszcza pszenica i kukurudza nie mówiąc już o innych produktach rolnych, spotykanych na rumuńskich łanach także w wielkiej obfitości. Słoneczniki naprzykład tworzą tutaj miejscami całe gaje, udaje się też i winogrono, którego sok znany był i w dawnej Polsce pod nazwą wina mołdawskiego.

Że gospodarka rolna, znalazłszy się teraz w ręku mocarstw okupacyjnych, stała się bardziej postę-



W ziemi obiecanej: Ludność wiejska w Segarcea przy tańcu narodowym „hora", w niedzielę popołudniu.

pową i intenzywną, o tem niema dwu zdań, na jak wielką zaś skalę jest prowadzoną, dają obraz te illustracye, które w niniejszym numerze zamieszczamy. Rolnik zachodni, którego działalność ogranicza się na niewielki teren, tutaj, wśród tych na mile ciągnących się łanów, czułby się nieswojo, tak jak znów tamtejszy agronom, znalazłszy się na naszym tak zwanym obszarze dworskim i to do tego większym, gotów go uważać za ogródek.

Wobec ogromnego obszaru łanów, nie zwozi się też zebranego zboża do stodoły, ale gromadzi się je na polach, ustawiając w sterty, dochodzące nieraz prawdziwie potwornych rozmiarów, z czem można się spotkać już i na galicyjskiem Podolu. Na polu odbywa się też młocka, a czyste ziarno odstawia się do miast portowych, tak nad morzem Czarnem, jak i nad Dunajem.

Z rozwojem rolnictwa idzie zawsze w parze chów bydła, który w Rumunii doszedł do bardzo wysokiego stopnia i to znów bez zbytnich wysiłków ze strony ludności miejscowej. Kwitnie tutaj także sadownictwo, pszczelnictwo, hodowla winogron, a gdy się do tego doda obfite pokłady soli w Karpatach i źródła naftowe, można z czystem sumieniem mówić o „ziemi obiecanej“.

Nadto obfituje Rumunia w lasy, znane już z historyi średniowiecznej. W ostatnich czasach silnie je przetrzebiono.

Wojna dawniej a dziś.

Odkąd ludzkość istnieje, toczy też między sobą, walki, ale i one z biegiem czasu ulegają zmianom i śmiało powiedzieć można, nie cofając się bynajmniej zbyt daleko w przeszłość, że wojny napoleońskie, które spustoszyły przed laty mniej więcej stu całą Europę, w niczem nie są podobne do obecnej, stoczanej na tym samym prawie terenie i przez te same ludy, choć w innem ugrupowaniu.

Z czasem jednak wszystko ulega zmianom i do skonali się, a nigdzie może nie da się to zaobserwować tak dokładnie, jak na wynalazkach, mających swe zastosowanie w strategii. Jakby na urągowisko dla uczuć humanitarnych, mających być wypływem





Armatka, służąca do wyrzucania granatów. **Wojna dawniej, a dziś:** Miotacz min małego kalibru. (Fot. „Bufa“.)

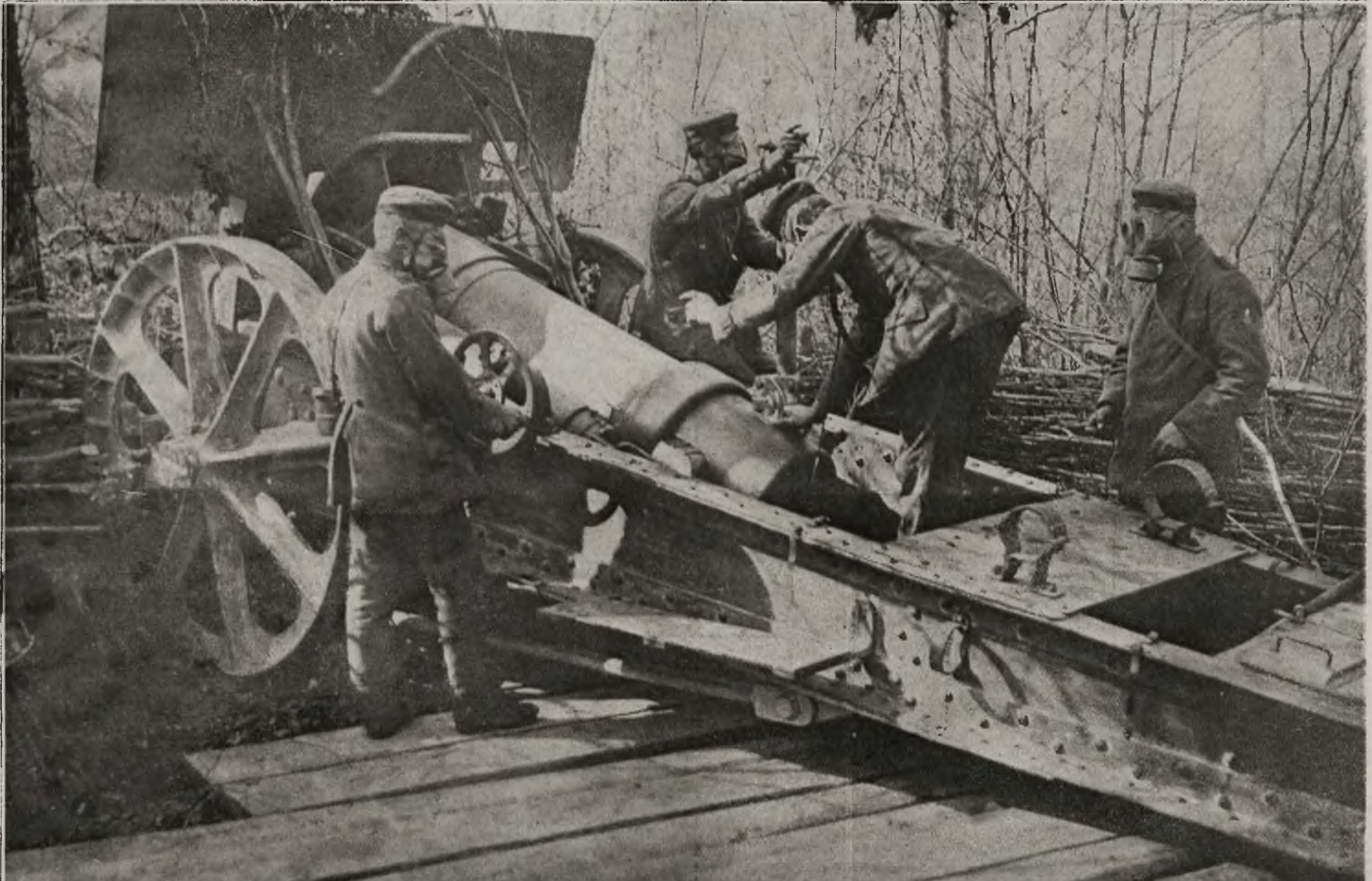


Z frontów bojowych: Dżemal basza, dowódca czwartej armii tureckiej w południowej Palestynie, wraz ze swym szefem sztabu, Fuad bejem, na polu walki. (Fot „Bufa“.)



W ziemi obiecanej: Powrót żeńców rumuńskich z łanu dworskiego do swych zagród. (Fot „Bufa".)

coraz większej cywilizacyi, sili się umysł ludzki na to, by wynajdywać najrozmaitsze mordercze narzędzia, mające za zadanie bynajmniej nie ochronę ludzkości, ale przeciwnie, jej zgubę. Zwłaszcza zaś w czasie wojennym, jak to mieliśmy sposobność sami o tem się przekonać, pomysłowość ludzka w tym kierunku stara się pójść jak najdalej i dlatego to obecnie walki są tak zacięte i tyle za sobą pociągają ofiar.



Z frontów bojowych: Obsługa niemieckiej ciężkiej haubicy w maskach gazowych na zachodnim froncie. (Fot. „Bufa".)



W ziemi obiecanej: Zniwiarka podczas pracy w Segarcea w Rumunii. (Fot. Bufa.)

Słowem, warunki prowadzenia wojny tak się teraz zmieniły, iż w wielkim kłopocie znalazłby się z pewnością i najznakomitszy wódz z przed pół wieku, gdyby mu dziś kazano złożyć na polu walki dowody swego uzdolnienia. Pierwszem jego pytaniem byłoby, gdzie wróg, z którym ma walczyć, skoro go przed sobą nie widzi...

Niejednokrotnie już wspominaliśmy w *Nowościach Illustrowanych* o różnych nowych śmiercionośnych wynalazkach, obecnie przyszła kolej na dwa, których na początku obecnej wojny, więc jeszcze przed trzema laty, nie znano. Są to rodzaje maleńkich armatek, mniejsza do rzucania granatów, większa zaś, to miotacz min. Początkowo rzucano granaty rękami, co i dzisiaj zresztą jeszcze się praktyknje, wyrzucanie ich przecież przy pomocy armatki jest i bezpieczniejsze i pewniejsze. Także miny zakładało się pierwotnie w wydrążeniach pod powierzchnią ziemi, a zapalało przy pomocy lontów, prądu elektrycznego lub choćby naciśnięciem nogą kontaktu, dziś wyrzuca się je z tych nowych miotaczy.

Jednem słowem, sposób wojowania, zwłaszcza od czasu wojny rosyjsko-japońskiej, uległ gruntownej przemianie, która w czasie obecnym doszła do punktu kulminacyjnego, lecz nie należy wątpić, że i nasi następcy, choć bardziej już pokojowo usposobieni, nieraz jeszcze będą sobie suszyć nad tem głowę, w jaki sposób ułatwić bliźniemu, z którym jest się przypadkowo na wojennej stopie, przeniesienie się do lepszego żywota.

Dawniej występowały do walki nieprzyjacielskie zastępy i ten zwyciężał, kto odznaczył się większem męstwem, górował liczbą, lub posiadał jakiegoś genialnego dowódcę. Dziś czasy się zmieniły o tyle, iż ten wychodzi obronną ręką z wojennej imprezy, kto rozporządza nowocześniejszymi przyrządami śmiercionośnymi. Dawna armata o tyle jeszcze liczyć może na jakieś uznanie, o ile jest jakimś olbrzymem o potwornych kształtach, wypluwającym ze swej gardzieli kilkunasto-cetnarowe pociski, mniejszego kalibru mają znaczenie o tyle, o ile jest ich wielka liczba, natomiast prawdziwe tryumfy święcą obecnie karabiny maszynowe, granaty ręczne, bomby zapalne i gazowe, rzucanie płomieni, różnego rodzaju miny, łodzie podwodne, aeroplany i setki innych wynalazków, o których się naszym przodkom, choć byli rycerskim narodem, ani nie śniło.

Dziś i pole walki wygląda zupełnie inaczej, niż dawniej, rzadko bowiem kiedy ujrzy się na niem oddział szturmowy, gdy opuści rowy strzeleckie, natomiast dokoła podnoszą się, niewiadomo z jakich kryjówek, kłęby dymu, a potem słupy kurzu, wyrzucanego w powietrze przez pękający pocisk. Od czasu do czasu pojawi się nad głowami ukrytych w rowach żołnierzy nieprzyjacielski latawiec i stamtąd razi bombami, tak jak znów na morzu łódź podwodna, niepozorna tak na oko, poważa się od spodu atakować i najpoważniejszego nieprzyjaciela.



Sielanka wojenna: Jeńcy rosyjscy z przyniesionym przez nich własnym karabinem maszynowym. (Woj. kwat. pras.)



W ziemi obiecanej: Wypłata żeńców, zajętych przy pracach polnych na folwarku Segarcea w Rumunii. (Fot. „Bufa".)

Sielanka wojenna.

W ciągu obecnej wojny światowej, zwłaszcza na wschodnim froncie zdarza się bardzo często, szczególniej w ostatnich czasach, iż żołnierze rosyjscy, znudzeni już zbytniem przewlekaniem się jej, całemi gromadami poddają się nieprzyjacielowi. W szeregach rosyjskich szerzy się dezercya w sposób zatrważający, jak to zresztą wspomniał o tem i jenerał Korniłow w liście do Rządu Tymczasowego, i to zarówno w kierunku stanowisk wojsk mocarstw centralnych, jak i w głąb własnego kraju.

Temu i dziwić się nie można. Rosyanie widzą sami, że wszelkie ich wysiłki na nic się nie zdają, każda bowiem ofenzywa kończy się zupełnem niepowodzeniem, co bynajmniej nie wpływa na przyspieszenie tak upragnionego pokoju.

Na swój więc sposób chcą zmusić Rząd rewolucyjny do zaprzestania kroków wojennych i rozpoczęcia petraktacyi porkojowych. Opuszczają szeregi...

Zdarzenia tego rodzaju powtarzają się prawie codziennie, zwłaszcza zaś od czasu, gdy nowy rząd rewolucyjny zawiódł oczekiwania i zamiast dążyć, jak sądzono powszechnie, do pokoju, prze do dalszej wojny i urządza bezcelowe ofenzywy, które tyle krwi kosztują.

Illustracya nasza przedstawia oddział rosyjskich żołnierzy, którzy poddali się dobrowolnie, a nadto przynieśli ze sobą w „upominku"... własny karabin maszynowy.

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

14

— Co znowu, kochany baronie — odparł poważnie — pan szaleje widocznie. To pan szuka ze mną sprzeczki, ale nie ja! To dosyć widoczne przecież, u dyabła! Jutro odzyska pan spokój normalny i pożałuje pan napewne słów dzisiejszych, których wcale w rachubę nie biorę. Niech się pan tak nie unosi napróżno!

— Ah! Dosyć już tego! — szepnął przez zęby d'Esclairs, posuwając się naprzód.

— Zresztą, tak samo jutro, jak i dzisiaj, nie mam zamiaru okazać się skrupulatnym i oznajmiam panu zgóry, że przyjmuję...

— Co takiego? Co?

— Przeprosiny pana.

— Ah! Nędzniku!

I baron w ostatecznem uniesieniu wściekłości szybkim ruchem podniósł rękę, ale kilka osób powstrzymało go równocześnie.

Pułkownik Robert zbladł lekko i zacisnął wargi.

— Oh! Tego już naprawdę zanadto — wymówił z trudem. — Musi mi pan teraz zdać rachunek z tego szalonego postępowania.

— Kiedy pan tylko zechce — odparł baron, prostując się z godnością.

— A więc natychmiast.

— Tak, natychmiast! Tak będzie najlepiej... i jeżeli pan nie jest tchórzem...

Nie było już sposobu załagodzenia sprawy. Baron d'Esclairs dochodził do ostatnich granic uniesienia, gdzie już wszelkie łagodzące słowo i interwencya osób drugich staje się zbyteczną. Gdyby go najbliżsi nie byli siłą powstrzymali, byłby się rzucił na pułkownika Robert i bezzwłocznie sam wymierzył sobie satysfakcyę.

Wypadek ten podziałał silnie na całe otoczenie. Nikt nie miał już ochoty do prowadzenia dalszej zabawy. Prawie wszystkie kobiety rozbiegły się zalęknione, pociągając za sobą większą część mężczyzn. Koło barona i pułkownika pozostało tylko szczupłe grono przyjaciół, mających nadzieję opóźnienia niechybnego pojedynku przynajmniej do dnia następnego.

Pułkownik Robert wydawał się pozornie dosyć spokojny, ale ręce jego zaciskały się nerwowo i z oczu tryskały błyskawice tłumionego gniewu. D'Esclairs zaś, nie mogąc już zapanować nad sobą, objawiał gorączkowe zniecierpliwienie, gotując się do natychmiastowej walki z przeciwnikiem.

Na rozkaz pułkownika, służący przyniósł dwie szpady i w dziesięć minut później obydwaj zwaśnieni stali naprzeciw siebie, mierząc się nienawistnem spojrzeniem.

Zaimprowizowani świadkowie wybrali przyniesione szpady i cofnęli się o kilka kroków, milczący i zaniepokojeni. Cokolwiek dalej utworzyła się grupa ciekawych, pośród których znajdował się Cypryan Leduc i drugi czarodziej, obydwaj w maskach.

— No i cóż, panie Leduc! — odezwał się cicho towarzysz starego archiwisty. — Jakże się to panu podoba?... Cóż pan na to mówi?

— Czekajmy końca — odparł spokojnie zapytany, śledząc spojrzeniem wszystkie ruchy pułkownika.

— Baron d'Esclairs, to istny szaleniec! Postępuje bardzo lekkomyślnie!

— Nie może inaczej uczynić! Sprowokowany został przez tamtego.

— Oh! Tak pan sądzi?

— To przecież jasne.

— Przypuszcza pan więc, że pułkownik rozmyślnie wywołał tę awanturę?

— Cicho! Cicho! Niech pan uważa!

Świadkowie już dali znak do rozpoczęcia walki. Zaraz z początku d'Esclairs rzucił się na przeciwnika z ślepą wściekłością i widać było, jak błyszczący koniec jego szpady w zawrotnem tempie ocierał się o pierś pułkownika. Ten zaś zachowywał jeszcze spokój i równowagę umysłu. Stał wyprostowany, zimny, odpierając cięcia przeciwnika i twarz jego bez wyrazu, zamknięta w sobie, nie zdradzała żadnego podniecenia.

Ale stan ten nie trwał długo.

Po upływie kilkunastu sekund, okrzyk wściekłości wybiegł z piersi barona i ręka jego, trzymająca szpadę, zwisła bezwładnie ku ziemi.

— Raniony! — zawołał Henryk Berthand, podbiegając spiesznie ku niemu.

— Oh! Lekko bardzo — odrzekł pułkownik. — Zaledwie małe draśnięcie... O to mi właśnie chodziło. Baron d'Esclairs będzie zmuszony przez czas jakiś nosić rękę na temblaku i mam nadzieję, że już jutro zapomni o tej niepotrzebnej historyi.

Pospieszono zawezwać powóz barona i Henryk Berthand umieścił w nim wygodnie przyjaciela, zalecając mu spokój i rozwagę.

Wszyscy obecni przejęci byli szlachetnem zachowaniem się pułkownika, który umiał z taką delikatnością oszczędzić przeciwnika i całej sprawie nadać obrót zupełnie inny, niż przypuszczano.

Wkrótce rozeszli się wszyscy, a w ogrodzie pozostał tylko Cypryan Leduc i agent.

— Czy pozostaniemy tu jeszcze dłużej? — zapytał ten ostatni. — Nad czem się pan tak głęboko zastanawia?

Stary archiwista podniósł głowę i po twarzy jego przebiegł dziwny uśmiech.

— To szczególne jednakże! Bardzo szczególne — wyrzekł poważnie.

— Cóż pan w tem zajściu widzi tak szczególnego? Dla mnie wydaje się to dosyć jasnem. Dwóch ludzi posprzeczało się, przychodzi do pojedynku i jeden z nich zadaje drugiemu lekkie draśnięcie. Należy tylko podziwiać rycerskość pułkownika Robert.

— Tak pan przypuszcza?

— Może pan jest innego zdania?

— Nie.

— Jednakże byliśmy obydwaj świadkami tego spotkania.

— Tak, tak, widziałem to zarówno, jak i inni — odparł Cypryan Leduc, potrząsając głową. — Ale zdaje mi się, że to nie koniec jeszcze. Poczekajmy do jutra, a może dowiemy się coś ciekawego. Ale pan ma słuszność; nie mamy potrzeby pozostawać tu dłużej. Jednakże jest tu ktoś, który mnie oczekuje i nie mogę odejść bez niego.

— Pana pomocnik — nieprawdaż?

— Tak jest.

Agent zaśmiał się głośno.

— Oh! Jeżeli panu o to tylko chodzi, to może pan odejść stąd spokojnie. Stara Bruchon tu była i wręczyła mu list i, zdaje się, że znajdowało się w nim coś bardzo interesującego, bo zniknął, zaledwie go przeczytał.

— I w którą stronę się udał? — zapytał stary archiwista niespokojnym głosem.

— W stronę Belleville.

— Belleville? — powtórzył Leduc, wstrząsając się nerwowo. — Ah! Zgaduję teraz wszystko! Nieszczęśliwy chłopiec nie przeczuwa niebezpieczeństwa, jakie tam mu grozi. Ale to się nie stanie... za żadną cenę... ja do tego dopuścić nie mogę w żaden sposób.

I, nie dodając już nic więcej, stary archiwista szybko wybiegł z ogrodu, podążając ku Polom Elizejskim.

XIX.

Jerzy, opuściwszy willę pułkownika Robert, udał się do Belleville, gdzie oczekiwała na niego Gilberta w stanie silnego wzruszenia i niepokoju. Bilecik, otrzymany w tak nieoczekiwany sposób, wywołał na nim głębokie wrażenie, obudzając różnorodne myśli i przypuszczenia. Od ostatniego, nieprzyjemnego spotkania w Saint-Mandé, nie widział wcale młodej dziewczyny i już nawet tracił nadzieję ujrzenia jej kiedykolwiek. A tu, w chwili, kiedy już najwyższe zwątpienie ogarniać go zaczynało, kiedy napróżno zadawał sobie pytanie, gdzie Gilberta mogła być ukryta, dochodziło go wezwanie od niej, świadczące, że pamięta o nim jeszcze i pragnie go widzieć. Z treści odebranego biletu Jerzy powtarzał sobie tylko jedno zdanie, które go najwięcej uderzyło: „Kocham Cię i czekam na Ciebie.“ Ale, jadąc w stronę Belleville, mimowoli przywodził sobie na pamięć i inne ustępy, zalecające mu ostrożność i rozwagę. Oczekiwano na niego w pasażu Duée; miał ujrzeć małe światełko, błyszczące w ostatniem oknie pierwszego piętra. Kazano mu zapukać trzykrotnie do drzwi, wychodzących na pasaż.

Przybywszy na ulicę Pixecourt, Jerzy wyskoczył z powozu, kazał dorożkarzowi oczekiwać na siebie i wszedł w wąski, ciemny pasaż.

Była już godzina pierwsza po północy. Zaledwie jednak uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się wzruszony, z sercem bijącem. Naprost niego wznosił się dom, tonący w zmroku, ledwie dostrzegalny, którego tylko jedno, jedyne okno było słabo oświetlone. To był pokój Gilberty! Silne drżenie przebiegło jego ciało. Na myśl, że młoda dziewczyna znajduje się tam, za tem oknem i oczekuje go z utęsknieniem, doznał rozkosznego olśnienia. Wrażenie to tak go osłabiło, że nie mógł kroku postąpić. Po chwili jednak odzyskał równowagę umysłu i trzykrotnie klasnął w ręce.

Równocześnie prawie światło w oknie zagasło i pojawiło się wkrótce na dole, schodząc aż do ogrodu. Lekki szmer kroków dobiegł do Jerzego i żelazna furtka otworzyła się z lekkim zgrzytem.

— To ty, Gilberto?

Nie mogąc zapanować nad sobą, Jerzy pochwycił w ramiona młodą dziewczynę. Gilberta drżąca, bez sił, poddała się biernie temu uściskowi.

— To ty, Gilberto? To ty? — szeptał Jerzy, oszalały z radości — A ja już zwątpiłem w swoją szczęśliwą gwiazdę i oskarżałem los, który nas tak bezwzględnie rozdzielił! Sądziłem, że cię nie ujrzę już więcej! Ah! Gilberto! Jaka ty jesteś dobra i jak mnie czynisz szczęśliwym!

— Nie możemy tu pozostać dłużej, — wymówiła z trudem młoda dziewczyna — Gdyby nas kto ujrzał! Gdyby się ktoś domyślił!...

— A któżby mógł nas tu podpatrzeć?

— Nie wiem... nie wiem, ale obawiam się! Jerzy... obawiam się bardzo... Chodź za mną!...

Pociągnęła go do wnętrza domu, a kiedy znaleźli się w pokoju, kazała mu usiąść blisko siebie.

— Namyślałam się długo, zanim odważyłam się napisać do ciebie — rzekła, odetchnąwszy z ulgą — ale prześladowała mnie myśl, że czuć się musisz bardzo nieszczęśliwym. Ja również cierpiałam bardzo nad tem okrutnem rozłączeniem i chwyciłam się pierwszej sposobności, aby cię módz zobaczyć.

— I skorzystałaś z zabawy, którą wydaje pułkownik Robert.

— Właśnie.

— Ależ ten człowiek ukrywa jakieś tajemnicze powody, aby cię więzić w ten sposób, Gilberto?

— Powody te nie są mi znane, — odparła smutnie młoda dziewczyna.

— Do czegóż on dąży?

— I tego wiedzieć nie mogę.

— Więc nie wyjaśnił ci nigdy swojego postępowania? — badał dalej Jerzy.

— Powiedział mi tylko, że jesteś moim wrogiem, że nie powinnam cię już nigdy widzieć i, jeżeli sprzeciwię się jego rozkazowi, spotkać mnie może hańba, a ciebie, Jerzy, śmierć pewna.

Wymawiając te słowa, młoda dziewczyna tak drżeć zaczęła, że Jerzy pochwycił ją w ramiona, starając uspokoić.

— Ah! Gilberto moja! — wymówił wzruszony, głaszcząc pieszczotliwie jej jasne włosy — Błagam cię, nie poddawaj się tak smutnym myślom i nie obawiaj się ani o siebie, ani o mnie. Pamiętaj, że nigdy miłości mojej wstydzić się nie będziesz potrzebowała. Mnie również nienawiść, czy gniew tego człowieka w niczem dotknąć nie może. I gdybym wiedział, że kiedykolwiek stać się mogę przyczyną twoich łez, czy smutku, wolałbym tu, na miejscu, u nóg twych odebrać sobie życie!

— Jerzy! Jerzy! Co mówisz? — zawołała Gilberta, tuląc się do niego z ufnością!

— Kocham cię, Gilberto! Czy nie wiesz o tem? — zapytał poważnie młody człowiek.

— Tak, kochasz mnie... czuję to i wierzę, i przywiązanie twoje jest jedyną radością mojego życia i jedyną pociechą w tych strasznych przejściach. Ale pomimo to, widzisz Jerzy, smutek jakiś ciężki ogarnia mnie często i zapytuję się z lękiem, co się stanie z nami w przyszłości, co nam przyniesie ta miłość?

— A więc ja ci odpowiem, Gilberto, posłuchaj mnie tylko! — rzekł silnym głosem Jerzy, przyciągając jeszcze bliżej do siebie młodą dziewczynę — Musimy uciekać!

— Uciekać?! — powtórzyła z przestrachem.

— Tak! Uciekać! Musisz opuścić jak najprędzej ten dom, w którym czyhają na ciebie niebezpieczeństwa różne, opuścić tego człowieka, który nie śmie otwarcie wyznać, kim jest i do czego dąży.

— Ale gdzież chcesz, żebym się schroniła, Jerzy! — szepnęła bezsilnie Gilberta.

— Do pana Leduc. Jest to człowiek prawy i uczciwy, nie może cię tam spotkać nic złego. Jest przytem moim najlepszym przyjacielem.

— Czy to jednak możliwe?

— Więc wolisz tu pozostać, tu, gdzie, jak sama mówiłaś...

— Nie, nie, Jerzy... tylko to, co mi proponujesz, jest krokiem bardzo ważnym. Pozwól mi się namyśleć jeszcze, proszę cię.

— Gilberto, nie ma czasu do długich namysłów! Jutro może już być zapóźno!

— Nie! Nie! Jerzy! Błagam cię, posłuchaj mnie... Ten człowiek, o którym mówisz, był dobrym dla mnie, wiesz o tem, temu zaprzeczyć nie mogę. On to wyrwał mnie z tego środowiska, gdzie byłabym zginęła już zapewne. Pomyśl tylko, coby się było stało ze mną, gdyby nie on! I nie byłabym ciebie poznała, Jerzy! Nie byłabym poznała twojej miłości! Czy mogę wobec tego okazać się tak niewdzięczną i opuścić go teraz? Nie! Nie, Jerzy! To niemożliwe! Pozwól mi rozmówić się z nim, wyznam mu wszystko, wyznam mu mój smutek i niepokój, bo przecież on nie zechce mojego nieszczęścia Tyle razy starał się mnie usilnie przekonać, że żyje tylko myślą, aby mnie uczynić szczęśliwą.

— A jeżeli on kłamał?! — zawołał gwałtownie młody człowiek — Jeżeli on cię oszukiwał i okłamywał tylko? Cóżbyś wówczas uczyniła, Gilberto?

— Pójdę za radą twoją, Jerzy, i prosić cię będę, abyś mnie zaprowadził bezzwłocznie do twojego przyjaciela, pana Leduc.

— Przyrzekasz mi to, Gilberto?

— Przyrzekam na miłość naszą.

Wyraz pewnej ulgi ukazał się na twarzy młodego człowieka, pozostał jednak dalej zamyślony i smutny.

W tej chwili na pobliskim zegarze wybiła godzina druga.

— Już druga! — szepnęła Gilberta — Nie możesz dłużej pozostać, Jerzy.

— Odpędzasz mnie od siebie! — wyrzekł z żalem młody człowiek.

— Tak trzeba... tak być musi.

— Ależ pułkownik nie powróci tej nocy. Jest zanadto zajęty zabawą, jaką wydaje. Musi się do końca zająć swoimi gośćmi. Czegóż więc lękasz się?

— Nie wiem, doprawdy... Ta dzielnica jest tak pusta, tak ponura...

— To jeszcze jeden powód więcej, abym pozostał z tobą. Nie sprzeciwiaj się, Gilberto, i nie mąć tej chwili. Czyż nam nie dobrze ze sobą?

Za całą odpowiedź młoda dziewczyna ujęła rękę Jerzego i uścisnęła ją mocno, patrząc w twarz jego rozbłysłemi od szczęścia oczami.

— Muszę teraz często cię widywać — podjął po chwili młody człowiek — Mogę przychodzić wieczorem i nikt tego nie spostrzeże. Oddalona ta i pusta dzielnica sprzyjać będzie bardzo naszym schadzkom. Czy zgadzasz się na to, Gilberto?

— Pragnę tego na równi z tobą — odpowiedziała z prostotą — ale musimy być bardzo ostrożni.

— Ah! Gilberto! Gdybyś wiedziała, jak pragnę gorąco tego dnia, w którym cię nazwę na zawsze moją i będę mógł otoczyć opieką i staraniem.

Długą jeszcze chwilę rozmawiali na temat wspólnej ich przyszłości, zapominając, gdzie i w jakich warunkach się znajdują.

Nagle Gilberta drgnęła silnie i powstała z wyrazem silnego lęku w oczach.

— Co ci jest, Gilberto? — zawołał Jerzy, chwytając jej rękę — Skąd ten przestrach nagły?

— Czy nie słyszałeś? — szepnęła — Tu w ogrodzie, pod oknem, kroki jakieś...

— Nie, nie słyszałem... pomyliłaś się... to pewnie wiatr szumi w drzewach.

— Nie! Nie! Jestem pewna, nie mylę się, Jerzy! To on! To napewne on!

— Pułkownik?

— Tak, to on! Mój Boże! Cóż się teraz z nami stanie? Co robić! Ah! Jerzy! Uciekaj! Uciekaj prędko, bo stanie się nieszczęście!

— Przeciwnie, pozostanę, Gilberto! — odparł młody człowiek stanowczym głosem.

— Jerzy! Przez litość, nie upieraj się! Czy nie widzisz, co się ze mną dzieje? Ktoś nas zdradził! Ktoś mu powiedział, że jesteś teraz przy mnie! Co robić! Co robić, mój Boże! Błagam cię! Nie możesz tu pozostać ani chwili dłużej! Uciekaj!

— Ależ, Gilberto...

— Jerzy, zaklinam cię na naszą miłość! Nie dręcz mnie dłużej. Ja się tak boję! Tak strasznie się boję! Uciekaj! Uciekaj! Może jeszcze zdążysz się wysunąć tak, aby cię nie ujrzał! Oh! Boże mój! Już zapóźno!

Drzwi się w tej chwili otworzyły i na progu pokoju stanął pułkownik Robert. Twarz miał bladą, spokojną. Szybkim krokiem podszedł do młodej dziewczyny, nie zdając się zwracać uwagi na jej towarzysza i, biorąc jej rękę, wyrzekł łagodnym, proszącym głosem.

— Gilberto, moje dziecko! oprzej się na mojem ramieniu i uspokój się! Drżysz cała! Czyż nie mówiłem ci tylekrotnie, że kocham cię jak dziecko rodzone i że życie moje wiąże się z pragnieniem twojego szczęścia? Nie lękaj się więc i pozwól mi działać!

— Gdzie mnie pan prowadzi? — zapytała młoda dziewczyna. — Ja chcę tu zostać.

— Obecność twoja tutaj, w tej chwili, nie jest stosowna. Zrozum to, a zresztą nie odbędzie się w tym pokoju nic takiego, coby cię mogło zaniepokoić. Możesz mi zaufać, Gilberto.

— Przysięga mi pan, że...

— Tak, moje dziecko, chodź więc i nie przedłużaj dobrowolnie tej sytuacyi, która jest przykrą dla nas wszystkich.

Młoda dziewczyna, uspokojona teraz zapewnieniem, dała się uprowadzić, nie śmiejąc nawet spojrzeć w stronę Jerzego.

Przechodząc obok niego, pułkownik Robert przystanął na sekundę i rzekł żywo:

— Oddalam się na chwilę. Mam nadzieję, że za moim powrotem będę miał przyjemność zastać tu jeszcze pana.

— Może pan na to liczyć — odparł Jerzy, prostując się dumnie. — Być może, że więcej jeszcze od pana pragnę stanowczego i decydującego wyjaśnienia...

— Składa się to bardzo szczęśliwie! — zaśmiał się ironicznie pułkownik, kierując się ku wyjściu.

Nieobecność jego nie trwała długo, tak, jak to był zapowiedział, bo w parę minut później zjawił się z powrotem spokojny, ale bledszy jeszcze, niż przedtem.

— Nareszcie jesteśmy sami — wyrzekł przerywanym głosem. — Żądam od pana wytłumaczenia z tej nieoczekiwanej nocnej wizyty, która wydaje mi się dosyć podejrzana. W jakim celu pan tu przybył?

— Czy tego pan odgadnąć nie może? — odpowiedział drwiąco Jerzy.

— Ah! Proszę pana! Dosyć tych żartów!

— Nie żartuję wcale, zaręczam panu. Wiadomo panu przecież, że kocham Gilbertę i przyszedłem tutaj, aby się z nią zobaczyć.

— Niech i tak będzie, ale pozwoli pan sobie powiedzieć, że ta swoboda pana wcale mi się nie podoba i że stanowczo zamierzam ją ukrócić. Tym razem jeszcze będę wyrozumiałym, ale gdyby te wizyty powtarzać się miały...

— Cóż byś pan uczynił? — zapytał spokojnie Jerzy, patrząc prosto w twarz pułkownika.

— Zabiję pana — odparł tenże zimno i powoli.

Jerzy wzruszył ramionami.

— Co znowu! — rzekł żywo. — Zapomina pan, że nie żyjemy już w czasach, ułatwiających podstępne morderstwa. Zechce się pan zastanowić nad tem i zapamiętać, że podobnych pogróżek nie zlęknę się wcale. Jak dotąd, jestem w swojem prawie i oznajmiam panu, że dokąd nie przedstawi mi pan jawnych dowodów swojej prawnej władzy nad Gilbertą, użyję wszelkich sposobów, jakimi tylko rozporządzać będę w stanie, aby ją ustrzedz przed losem, jaki jej pan gotuje.

— Czy to ostatnie pana słowo?

— Ostatnie.

— Niech się pan strzeże.

— Przed czem? Kocham Gilbertę i wiem, że posiadam jej wzajemność. Jakaż może być przeszkoda w połączeniu się naszem? A zresztą, kimże pan sam jesteś, abyś przemawiał do mnie w ten sposób!? Ojcem jej? Krewnym, przyjacielem może? Wątpię w to bardzo... Panu się zdaje może, że ja nie wiem nic? Otóż myli się pan! Ja wiem, że pewnego dnia zabrałeś ją od rodziny, w której żyła i ukryłeś tajemniczo w tym pensyonacie, w którym ją poznałem. Jakież są dalsze pana zamiary co do niej? Co pan chce z niej zrobić? Czy jej to pan kiedy jasno wypowiedział, ośmielił się zdradzić? A więc, powtarzam panu, użyję w całej pełni prawa, nadanego mi przez Gilbertę samą, a pogróżki pana w niczem zamiarów moich zmienić nie są w stanie. Chciałbym, żeby to pan raz na zawsze dobrze zrozumiał i przyjął do wiadomości.

W oczach pułkownika zabłysły dwie błyskawice gniewu, a twarz ściągnęła się w skurczu nerwowym. Szybkimi krokami zaczął przebiegać pokój, potrącając meble i stołki.

— Pan nawet sobie zdać sprawy nie może, na co się naraża temi zuchwałemi słowami — wybuchnął po chwili. — Jaką nienawiść i gniew roznieca pan przeciw sobie. To istne szaleństwo! Strzeż się, powtarzam, strzeż się, bo za chwilę może nie będę już zdolny zapanować nad sobą i zabiję cię, słyszysz, zabiję jak psa, który mi się niepotrzebnie plącze pod nogami!

Ale widząc, że Jerzy z niewzruszonym spokojem uśmiecha się, mierząc go pogardliwem spojrzeniem, przyskoczył do niego i, potrząsając brutalnie za rękę, zawołał, dusząc się od wściekłości:

— A więc nie! Nie na tobie zemszczę się! Nie na tobie! Bo cóż mi po twojem życiu! Tylko ona! Ona jedna odpowie mi za swoją uległość!

— Gilberta?

— Tak, Gilberta! Ona jest w moich rękach, pod moją władzą! Mogę z nią uczynić, co tylko zechcę! Jeżeli ty, lekkomyślny szaleńcze, upierać się dalej będziesz, to...

— Podły nędzniku!

— Broń się! — syknął pułkownik. — Lepiej zakończyć od jednego razu.

Jerzy, oślepiony rozpaczą i gniewem, skoczył naprzód z ręką do góry wzniesioną, nie wiedząc, że w tej samej chwili przeciwnik jego zręcznym ruchem wyjął rewolwer z kieszeni, nabił go i wymierzył...

Chwila była groźną... Jeden ruch, jedno słowo mogło zadecydować o życiu lub śmierci młodego człowieka... Ale nagle ręka pułkownika, trzymająca broń nabitą, opadła bezwładnie, a on sam stanął nieruchomy, nadsłuchując...

Ktoś pukał do drzwi pokoju.

Któż to mógł być — o tej porze?

Pułkownik Robert, nie namyślając się, skoczył, aby otworzyć i cofnął się, wydając okrzyk zdumienia.

W drzwiach stał Cypryan Leduc, uśmiechając się dobrodusznie, jak gdyby nic nie wiedział o scenie, co dopiero rozegranej o kilka kroków od niego.

— Przepraszam najmocniej, panie pułkowniku — odezwał się uprzejmie. — Byłbym doprawdy zrozpaczony, gdybym w czem przeszkodził panu, ale pragnę koniecznie pomówić z panem w ważnej sprawie... a nie mogę odkładać tego na później...

— Pan chce ze mną pomówić? — zapytał wzburzonym głosem pułkownik Robert, całą siłą woli starając się zapanować nad nurtującą go wściekłością.

— I to natychmiast... Rzecz najwyższej wagi... Sądzę, że nie odmówi mi pan kilku chwil rozmowy — odparł stary archiwista i, zwracając się do Jerzego, dodał serdecznie: — Zechciej nas pozostawić samych, moje dziecko. Wracaj spokojnie do domu, a jutro o wczesnej godzinie bądź tak dobry zjawić się w mojem biurze, bo będę miał i tobie ciekawe rzeczy do zakomunikowania.

Jerzy bez wahania przychylił się do woli starego archiwisty. Wyczuł intuicyjnie, iż przybył on rozmyślnie uratować go przed grożącem mu niebezpieczeństwem i oddalił się bez słowa, rzuciwszy mu tylko wymowne i wdzięczne spojrzenie.

Pułkownik Robert zaś, po wyjściu młodego człowieka, podszedł szybko do Cypryana Leduc i zapytał nakazującym tonem:

— A teraz może zechce mi pan powiedzieć, co to wszystko znaczy, bo dotąd nic a nic nie rozumiem.

— To znaczy, panie pułkowniku — odparł z powagą stary archiwista — że gdybym szczęśliwie nie był nadszedł na czas, stałaby się tu potworna zbrodnia, a bardziej niebezpieczna dla pana, niż wszystkie inne, dotąd popełnione. Myślę, że mnie pan dostatecznie już zrozumiał, nieprawdaż?

Pułkownik zadrżał silnie i zdumionem spojrzeniem objął mówiącego.

— Słowa pana są dla mnie dziwnie niezrozumiałe — odrzekł, siląc się na ton zimny i ironiczny — Nie lubię zagadek i dlatego proszę pana o jaśniejsze określenie swoich myśli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

O polski rząd i wojsko polskie.

Z Warszawy donoszą:

Stronnictwo narodowe powzięło w dniu 1 września następujące uchwały, dotyczące usunięcia Legionów z Królestwa, utworzenia rządu polskiego i wojska:

„Wewnętrzny ferment w Legionach, ujawniony ostatnimi czasy i usunięcie ich z granic Królestwa Polskiego stronnictwo narodowe uważa za ciosy, godzące w samą podstawę powstającego państwa polskiego. Niemniej stronnictwo wierzy, że naród polski nie da sprowadzić się z drogi budowania swego niepodległego państwa podczas wojny. Temu celowi stronnictwo, jak dotąd, wszystkiemi siłami swojemi służyć będzie. Dla osiągnięcia tego celu stronnictwo narodowe domaga i domagać się będzie: 1) Najszybszego ukonstytuowania się Rady Rejencyjnej, jako zwierzchniej władzy państwowej polskiej; 2) niezwłocznego utworzenia rządu polskiego, złożonego z ludzi według ich zdolności do wykonania trudnych obowiązków, nie zaś według przynależności partyjnej; 3) tworzenia polskiej armii regularnej, podległej polskiemu rządowi; 4) przywrócenia należytej organizacyi w Legionach i powrotu ich do Królestwa celem współdziałania przy tworzeniu armii regularnej".

Akcya pokojowa Ojca św.

Aby zdementować pogłoski, rozszerzane coraz częściej w ostatnich czasach, jakoby papież Benedykt XV przygotowywał nową notę pokojową, korespondent *Voss. Ztg.* donosi z Lugano z dobrze poinformowanego źródła katolickiego: „Wiadomość podana przez dzienniki angielskie, jakoby Ojciec św. przygotował drugą notę w sprawie pokoju, jest pozbawiona podstawy. Zmyślonem jest również doniesienie *Journal de Geneve*, jakoby Ojciec św. obecną notę ułożył i rozesłał bez porozumienia się z kardynałami".

Także pozbawioną podstaw ma być wiadomość, jakoby kurya rzymska czyniła kroki w sprawie przeprowadzenia ogólnego zawieszenia broni.

Utworzenie rządu polskiego.

Sprawa utworzenia rządu polskiego staje się z dnia na dzień coraz bardziej aktualną.

Według doniesienia pism poznańskich, na ostatniem posiedzeniu głównej komisyi Sejmu Rzeszy powzięto uchwałę w sprawie utworzenia rządu polskiego. Wybrano osobną komisyę, której przewodniczy b. sekretarz stanu, dr. Helfferich. Równocześnie w komisyi głównej omawiano ustalenie wschodniej granicy Polski. Kanclerz Rzeszy złożył deklaracyę desinteressement w tej sprawie ze strony Niemiec. Komisya główna oznaczyła potem wschodnie granice Polski, wyłączając jednak gubernię Suwalską i wschodnią część gubernii siedleckiej.

Część pism donosi, że w komisyi głównej rozważano także możliwość przyłączenia Litwy i Kurlandyi do Polski z tem założeniem, że te kraje same oznaczą, jaki ma być ich stosunek do państwa polskiego. Komisya główna domaga się, aby 18 września, na plenarnem posiedzeniu Sejmu, komisya specyalna złożyła sprawozdanie o przeprowadzeniu tych zarządzeń.

Drogą na Wiedeń nadchodzą nadto informacye z Warszawy, powtórzone za pismami niemieckiemi, iż oczekiwaną tam jest w tych dniach deklaracya rządów mocarstw centralnych w sprawie rządu polskiego. Zostanie utworzny rząd, wyposażony we wszelką władzę. Gabinet składać się będzie z premiera i dziesięciu ministrów. Powołanie rządu nastąpi prawdopodobnie, wobec życzenia komisyi głównej Sejmu Rzeszy, jeszcze przed 16 wrześniem. Pisma niemieckie uważają kandydaturę hr. Adama Tarnowskiego na premiera jako pewną. Również silnie popierana jest kandydatura gen. Rozwadowskiego na ministra wojny.

Rosyjska konstytuanta.

Pisma szwajcarskie przynoszą obszerną relacyę o tem, w jaki sposób mają być przeprowadzone wybory do rosyjskiej konstytuanty. Jak wiadomo, ułożeniem postanowień wyborczych i sposobu przeprowadzenia wyborów zajmowała się specyalna komisya, która sformułowała zasady wyborcze w następujący sposób:

Przyszła konstytuanta ma obejmować 800 posłów, z których każdy zastępować będzie około 200.000 mieszkańców. Przez pewien czas w łonie komisyi panowała rozbieżność zdań co do tego, ilu posłów należy dla konstytuanty wyznaczyć. Liczni członkowie komisyi domagali się, aby liczbę ich podnieść do 1600, gdyż dopiero wtedy w całej pełni masy ludowe będą mogły być reprezentowane. Ostatecznie jednak komisya i rząd uznały cyfrę 800 za wystarczającą. Prawo wyborcze mają wszyscy obywatele, którzy ukończyli 20 rok życia. Sprawa praw wyborczych rodziny carskiej była przedmiotem obszernej dyskusyi. Pierwotnie nawet rząd, mimo zapatrywań przeciwnych większości komisyi, był zdecydowany udzielić rodzinie cara prawa wyborczego. Powzięto nawet w tym kierunku odpowiednią uchwałę. Potem jednak cofnięto ją i car oraz w. książęta nie mają żadnych praw wyborczych.

Zaprowadzenie autonomicznych rządów w Finlandyi i uznanie niepodległości Polski spowodowały, że oba te kraje wyłączono od udziału w wyborze delegatów. To, że Polska znajduje się teraz w rękach mocarstw centralnych, nie grało w pojęciu tej decyzyi żadnej roli, gdyż dla innych okupowanych części kraju ustanowiono okręgi wyborcze, z tą jednak uwagą, że okręgi te wybiorą swych przedstawicieli po uwolnieniu ich od nieprzyjaciela. Z leżących w terenie operacyi wojennych gubernii Litwy i Wołynia stworzono osobne okręgi wyborcze. Wykluczono od udziału w wyborach okręgi Chiwa, Buchara i terytorya na pograniczu Rosyi, pozostające pod jej zwierzchnictwem. Specyalne zarządzenia wydano dla Kaukazu i Turkiestanu, którym przyznano po trzy okręgi wyborcze. Obszary, zamieszkałe przez koczujące plemiona Kirgizów i Kałmuków w gubernii astrachańskiej, tworzą dwa okręgi wyborcze. W guberniach jenisejskiej, zabajkalskiej i na Sachalinie przypada jeden delegat na 140 000 mieszkańców. Sachalin wybiera także jednego przedstawiciela.

Prawo wyborcze obejmuje, jak wiadomo, także i wojsko na froncie. Techniczny aparat wyborczy zorganizowano tu mniej więcej w ten sposób: Każdy pułk tworzy osobny Komitet wyborczy. Następną instancyą jest Komitet wyborczy armii, który wybiera osobną komisyę do badania uprawnień wyborczych. Jako najwyższa instancya, działa specyalna komisya, po jednej na każdym froncie, do której, prócz delegatów poszczególnych armii, należą przedstawiciele partyi politycznych i komisarze rządowi. Podobną organizacyę wyborczą ma i flota. Flotę bałtycką przydzielono do frontu północnego, czarnomorską do frontu rumuńskiego i kaukazkiego. Flota w zatoce Murman i na morzu Północnem głosuje w Archangielsku, zaś na wybrzeżach Azyi na wschodzie z ludnością prowincyi wschodnich.

Jak wiadomo, wybory miały się odbyć już 30 września, zostały jednak odroczone, na razie bez terminu.

Hakatyści wobec dymisyi Rady Stanu.

Prasa niemiecka, prawie bez wyjątku, stara się skorzystać z każdej sposobności, by w jak najgorszem świetle przedstawić dążenia Polaków i nie szczędzi swemu rządowi wskazówek, w jaki sposób ma wystąpić energicznie w interesie „zagrożonych interesów niemieckich w Polsce".

Organ hakatystów zachodnio-pruskich, „Danziger Nachrichten", podając wiadomość „Lodzer Zeitung" o dymisyi Rady Stanu, takie od siebie dodaje uwagi:

„Jakkolwiek urzędowego potwierdzenia wiadomości tej dotychczas jeszcze niema, to jednak, po różnych zajściach w ostatnim czasie, nie może to być niespodzianką, jeżeli ona odpowiada rzeczywistości. O kroku w tym kierunku mówiono ustawicznie w ostatnich tygodniach i miesiącach.

Jak wiadomo, nie można i nie wolno się już dziwić, co na gruncie polskim się dzieje. Coraz wyraźniej widziało się w Niemczech, że Polakom wcale nie chodzi o to, by szukać silnego przymierza z państwami centralnemi, lecz dążą oni, zwłaszcza od czasu rewolucyi rosyjskiej, do pozostania przy Rosyi. Zdaje się, że Polak spekuluje już dziś na to, by zostać spadkobiercą Rosyi niemieckiej. Wie on bardzo dobrze o tem, że pod względem intelligencyi przewyższa Rosyanina, jak również dobrze wie, że ze swej strony Niemcowi nie dorównuje i że musi się obawiać, iż, w razie ścisłego przyłączenia Polski do państw centralnych, więcej utraci, niż może uzyskać, pozostawszy przy Rosyi. W każdym razie wolą Polaków jest polityczny kierunek ku wschodowi, a nie ku zachodowi.

Że broń i siła Niemiec uchroniły Polaków, jak przed dwoma laty, tak i teraz, przed nędzą wojenną, o tem zapomniało się dawno. Największy zatem teraz czas, silną ręką postarać się o to, ażebyśmy w Polsce z naszymi interesami niemieckimi nie ponieśli szkody. Siły nie wolno tam nigdy już z rąk Niemiec wypuszczać. W chwili, w której w Berlinie i Wiedniu zapanuje świadomość, iż okoliczności, jakie proklamacyą z dnia 5 listopada 1916 roku doprowadziły do utworzeeia państwa polskiego, znacznie się zmieniły, zwłaszcza o ile chodzi tu o stanowisko wszystkich Polaków, nowa oryentacya będzie i musi być rzeczą postanowioną, chociażby „Królestwo Polskie" było zagadnieniem od wczoraj".

Tyle gdański organ hakatystyczny, który jest wiernem echem większych swoich koleżanek berlińskich w stylu „Taegl. Rundschau" i t. p. Życzenie „polityki silnej ręki" powtarza się stereotypowo, a co hakatyści pod tem rozumieją, wiemy dobrze.

Sprawa obcych poddanych w Rosyi.

„Echo Polskie" z 10 sierpnia donosi:

Ministerstwo spraw wewnętrznych rozesłało następujący cyrkularz:

„Ministerstwo otrzymuje od poddanych państw nieprzyjacielskich i od duńskiej i szwedzkiej ambasady skargi, że miejscowe organa administracyjne i komitety bezpieczeństwa publicznego wydają rozporządzenia, pogarszające położenie tych poddanych. Wobec tego ministerstwo potwierdza w cyrkularzu do komisarzy, że polepszenie doli nieprzyjacielskich poddanych jest niedopuszczalne".

„Echo Polskie" czyni przytem uwagę, że cyrkularz powyższy nie wspomina nic o poddanych państw nieprzyjacielskich pochodzenia słowiańskiego.

„Neue Freue Presse" o N. K. N.

„Neue Freue Presse" zamieściła w onegdajszem wydaniu dłuższy artykuł p. t. „N. K. N". Autor wywodzi między innemi:

„Komitet, na którego czoło powołany został poseł dr. Wład. Leopold Jaworski, zdziałał w krótkim czasie bardzo wiele. Z małych zaczątków, z małej tajnej organizacyi strzeleckiej, powstała jakby przez noc wspaniała organizacya Polskich Legionów, owego korpusu wyborowego, który stał się ulubieńcem tak austro-węgierskiej, jak i niemieckiej komendy. W stolicach mocarstw centralnych, w Konstantynopolu, w Sofii i we wszystkich państwach neutralnych miał N. K. N. swych zastępców, rozporządzał wieloma pismami w języku polskim, niemieckim, francuskim i węgierskim i utrzymywał ciągle styczność z dyplomacyą mocarstw centralnych. Dziwnem się tedy wydawać musi, że pewne stronnictwa występują namiętnie przeciw reprezentacyi, którą same wybrały, żądając obecnie jej ustąpienia. Narodowy rząd polski wybrany został w Galicyi. Polacy w Galicyi mieli pełne zaufanie do Austryi, i na tem zaufaniu oparli całą swoją politykę. Właściwymi wyznawcami oryentacyi środkowo europejskiej byli konserwatyści, demokraci i socyaliści, a zatem większość ogromna narodu. Na uboczu trzymała się tylko mała grupka narodowych demokratów, pozbawiona wszelkiego niemal wpływu.

Wtem wybuchła rewolucya rosyjska, która wywarła wpływ stanowczy na socyalistów. Zwycięstwo socyalistów rosyjskich uważali socyaliści polscy w Galicyi za swoje własne, a fakt ten skłonił ich do zerwania sojuszu z konserwatystami i demokratami. Przywódcy socyalistów polskich w Galicyi nie porzucili jednak wcale t. z. oryentacyi austryackiej, nie chcieli jednak walczyć w sojuszu z konserwatystami i demokratami. Zasadnicza różnica zdań zachodziła tylko między narodowymi demokratami a N. K. N. Tylko narodowi demokraci zastępują kierunek, sprzeczny z celami państw centralnych. Drugie bowiem stronnictwo, żądające rozwiązania N. K. N., ludowcy, działa jedynie pod wpływem gospodarczych skarg ludności wiejskiej. Wszak nawet uchwała z 28 maja r. b., która zapadła na wniosek tego stronnictwa, zwraca się z apelem do łaski cesarza austryackiego.

Z powyższego przedstawienia rzeczy wynika tedy, że w Kole Polskiem, jako takiem, istnieje za N. K. N. większość skąpa, za oryentacyą austryacką przeważna. Zwolennikami oryentacyi antiaustryackiej są tylko Wszechpolacy. Rozwiązanie N. K. N. uważać tedy należy za nieprawdopodobne".

Kronika tygodniowa.

Kronikarz *Nowości illustrowanych* ze zwolennika spraw aprowizacyjnych stał się, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, politykiem, i przez cały tydzień studyował treść noty pokojowej papieża Benedykta, potem czekał na odezwanie się zwłaszcza przedstawicieli koalicyi, a wkońcu zaczął sam przygotowywać odpowiedź w imieniu swojem i P. T. Czytelników. Na razie pozostaje ona jeszcze w mem biurku, zakończenie jej jest jeszcze w kałamarzu, nie można bowiem zabierać głosu, dopóki nie oświadczą się urzędowo strony interesowane, więc w pierwszym rzędzie przedstawiciele ententy, a następnie mocarstw centralnych.

Na razie pospieszył się z odpowiedzią pan Wilson, prawdopodobnie dlatego, by dać dyrektywę reszcie sojuszników, jakie oni mają zająć wobec noty stanowisko. Jak można było z góry przewidzieć, amerykański apostoł pokoju, a obecnie wojny, nie odrzucił *a limine* propozycyi papieskiej, owszem, raczył ją nawet pochwalić, ale równocześnie zaznaczył, że o zaprzestaniu kroków wojennych ani myśli, choć sam gorzkiemi łzami płacze nad niedolą ludów, bo ententa nie walczy przecież z żadnym ludem, tylko z niemieckim militaryzmem i niemieckim rządem. Bardzo mu więc żal, ale, na razie przynajmniej, nic na to nie poradzi. Postąpił więc sobie zupełnie tak, jak ów lis z bajki, opłakujący gorzko garbaty los owego kurczątka, którego kości właśnie z apetytem ogryzał.

Skoro więc pan Wilson nie dał żadnej konkretnej odpowiedzi, ale, jak to mówią, wykręcił się sianem, ciekawy jestem, dlaczego kronikarz miałby być gorszym od niego?... Miałbym zaś powiedzieć głupstwo, wolę siedzieć cicho, a zabiorę głos dopiero wówczas, gdy już wygadają się wszyscy i, jak się to mówi popularnie... puszczą farbę. To jedno jest pewnem, że ja stanowczo oświadczę się za pokojem, bo na dalszem trwaniu wojny zupełnie mi nie zależy. Nie zrobiłem na niej dotąd interesu, nie zrobię go z pewnością i później, choćby ta wojna miała być, czego jednak nie daj Boże, trzydziestoletnią.

Pan Wilson jest jednak mądry, powiedziałbym nawet, by go dosadniej określić, że to „morowy polityk“, bo dopóty siedział cicho i gardłował za pokojem, dopóki jego rodacy robili na dostawach wojennych dobre interesy, a Japończyk z podełba patrzył na Stany Zjednoczone i przemyśliwał nad tem, czy też nie mogłoby się i dla niego coś przy tej sposobności okroić, wszystko jedno, z tej, czy tamtej strony. Słowo „okroić“ brzmi zaś tak podobnie do „skroić“, że panu Wilsonowi musiało się chyba przypomnieć polskie wyrażenie „skroić komu kurtę“..., więc przycupnął, jak zając pod miedzą i czekał. No i doczekał się, bo tymczasem między Japonią a Stanami Zjednoczonymi nastały takie przyjacielskie stosunki, że z tej strony nie trzeba się już niczego obawiać.

Stąd też i zmiana nuty i ta skwapliwość w odpowiedzi na notę papieską w tonie w każdym razie więcej wojowniczym, niż pokojowym, gdyż przecież wujaszek Wilson jest obecnie kapelmistrzem zespołu koalicyjnego i on, a nie kto inny, dzierży w swem ręku batutę. Głośno wyrzeka wprawdzie na imperyalizm niemiecki, ale sam chętnieby go zaprowadził i na gruncie republikańskim.

Powiedziałem sobie więc, że chyba szkoda łamać głowę nad rozwiązywaniem tak trudnych problemów, jak kwestya pokoju lub wojny, i czekam, a może i ja doczekam się czego.

Ale czego?... Sam jestem ciekawy, co też to może być i, jeżeli się dowiem, podzielę się wiadomością i z ogółem Czytelników, również jak ja, sądzę, pokojowo usposobionych. Niech zresztą Wilson gada sobie i pisze o wojnie, gdy my głos zabierzemy, przekrzyczymy go z pewnością, bo „gromada to wielki człowiek“, a za mną stoją tysiące pacyfistów najrozmaitszych odcieni, więc z „odszkodowaniami wojennemi“ i bez, z aneksyami i bez nich i jak się tam jeszcze inaczej dzielą, bo i tutaj powstały już najrozmaitsze kółka i kółeczka.

Wogóle lubimy bardzo wszelkie „kółka“, ale musimy sobie powiedzieć, że do politycznych, to już zupełnie szczęścia nie mamy. Przy taczkach naszego politycznego żywota fungowało u nas od lat Koło, tak zwane „polskie“, ale tak przeraźliwie skrzypiało, że to raziło każde delikatniejsze ucho. Rząd to „Koło“ od czasu do czasu smarował i wtedy było ciszej, ale ogół popychających owe taczki nie miał z tego absolutnie żadnej korzyści, zwłaszcza że te „smarowania“ w potocznym języku nazywają się „obietnicami“.

Tych obietnic, co prawda, nigdy nam nie szczędzono i teraz się też nie szczędzi, ale, prawdziwy naród. Tyle się im przecież obiecuje, a im tego mało i chcieliby koniecznie, by na samych obietnicach się nie kończyło.

zatrzeba, na nich tylko się kończy, a inni jeszcze nam i tego zazdroszczą i powiadają, że Polacy to bardzo niewdzięczny naród. Tyle się im przecież obiecuje, a im tego mało i chcieliby koniecznie, by na samych obietnicach się nie kończyło.

W takich warunkach owe „Koło“ porusza się więc z trudnością, choć pcha się taczki, ile sił. Zato drugie, tak zwane „sejmowe“, w ubiegłą niedzielę rozleciało się w kawałki, tak, że trzeba się koniecznie oglądnąć za stelmachem, by je zlepił bodaj jako tako do kupy, jeśli bowiem kiedy, to teraz trzeba, by było w porządku, skoro się wybieramy w drogę samodzielnego bytu i chcielibyśmy już raz przestać się trzymać obcej klamki.

Ale znów i tu wyłażą na wierzch różne kółka i kółeczka, każde z nich obraca się w swoją stronę i z rozmaitą chyżością, nic też dziwnego, że powodują tylko zamęt i kołowaciznę polityczną, która dziś u nas tak namiętnie grasuje, jak ongi także kołtun.

I to może właśnie raz na zawsze zraziło mnie do zajmowania się polityką, tak tą na większą skalę, jak i domową, gdybym więc znowu wrócił do kwestyi aprowizacyjnych, proszę mieć mnie za wytłumaczonego, zwłaszcza, że jako „aprowizacyjny polityk“, nie mogę zająć się kwestyą odpowiedzi na notę papieską. Przygotowałem natomiast notę celem wręczenia jej naszym ministrom, gdy, oglądnąwszy sobie Galicyę, zawadzą o Kraków i otworzą łaskawie swe uszy na wysłuchanie skarg i lamentów ludności miejscowej, której, nawiasem mówiąc, bierze się to także za złe, iż przedstawia wobec obcych własny kraj w niezbyt pochlebnem świetle. Czy to potrzebne, by się chwalić, że Galicya to ojczyzna wszelakiego dziadowstwa, skoro o tem wiedzą wszyscy, zwłaszcza ci, którzy stale utrzymują, że ona centralnemu rządowi tylko przysparza kłopotów, a tak trudno coś z niej wycisnąć!

Wypisałem więc dla panów ministrów wierszem i prozą, czego nam nie dostaje, a bez czego trudno się obejść, nie mogłem natomiast w żaden sposób wpaść na to, co w zamian, prócz wdzięczności i dobrego słowa, dać możemy, gdyż wszystko, co było, to już nam zabrano, a zęby ostrzą się nawet i na to, czego niema i nigdy nie było! Jeśli tylko uda mi się spotkać którego z dostojnych gości, choćby na bankiecie, urządzonym na ich cześć (chyba w wojennej kuchni obywatelskiej!... przyp. zecera), wręczę mu swój memoryał, a jeśli raczy co odpowiedzieć, odpowiedzią podzielę się z P. T. Czytelnikami, którzy z tego dowiedzą się dopiero z całą pewnością, czego się można spodziewać i „co w trawie piszczy“.

Ale znów kółka!... Ktoś, nie należący do tego, co ja, słysząc, jak rozmawiam z ministrem i maluję mu sytuatyę na czarno, odezwie się z pewnością:

— Ekscellencyo! Ten pan przesadza!... Tak źle nie jest, a już, broń Boże, nie chcielibyśmy robić kłopotów Wysokiemu Rządowi, zwłaszcza w tak ciężkich czasach i gdy tyle nam już obiecano...

Pan minister kiwnie na to łaskawie głową i powie:

— Ma pan racyę!... Pesymistą nigdy się być nie powinno! Ja sam stwierdziłem na swe własne oczy, że tak źle nie jest... Memoryał pański dam jednak do zbadania, gdzie i komu należy!...

Ja w imieniu mego „kółka“ i tamten pan z innego „kółka“ ukłonimy się pięknie, a referat mój, jeśli wogóle opuści kiedy kieszeń ekscellencyi, to za interwencyą świętego Biurokracego może z czasem doczekać się załatwienia, a ja odpowiedzi, że „jeżeli się da, to się zrobi“, a jeżeli nie... to trudna rada.

W politycznem rozgoryczeniu miałem już zamiar wyjechać do Sztokholmu na ową konferencyę, która się podobno wcale nie odbędzie, gdyż tego koalicya sobie nie życzy, zostałem przecież w Krakowie, by się przekonać na własne oczy, czy naprawdę otrzymamy już w najbliższym tygodniu normalną racyę chleba i mąki. Tak nam przynajmniej obiecano, choć nieraz już spełniło się na nas przysłowie: „Obiecał pan kożuch, ciepłe jego słowo!...“

Ale w każdym razie jesteśmy przecież w lepszej skórze, niż obywatele tego miasta niemieckiego, które narzeka na brak... trumien i żąda, by zaprowadzono Centralę, mającą się zająć ich rozdziałem. Co zaś znaczy Centrala, to wiedzą Czytelnicy z poprzednich kronik. Widocznie śmierć dała się im już porządnie we znaki i chcieliby sobie odpocząć. Może i nasz pan fizyk, ze względu na epidemię czerwonki, poczyniłby w tym kierunku odpowiednie kroki?... Myślę, że i u nas scentralizowanie dostawy trumien mogłoby mieć tylko dodatnie strony i jak najlepsze następstwa, przedewszystkiem zaś wpłynęłoby gwałtownie na zmniejszenie się „ruchu umarłych“, co ulżyłoby znów w pracy miejskiemu Urzędowi statystycznemu.

Jedno więc łączy się z drugiem, uczciem owe kółka, o których ciągle w niniejszej kronice wspomniam, by znów nie wpaść w drugą ostateczność... aprowizacyjną, lub też, broń Boże, polityczno-strategiczną, na czem się już wcale wyznać nie potrafię, zwłaszcza od chwili, gdym wyczytał, że front rosyjski na wschodzie ciągnie się od Husiatyna lewym brzegiem... Prutu. Tak było wyraźnie napisane, raczej wydrukowane, ale nie w urzędowym komunikacie, lecz w doniesieniu „własnego korespondenta“, któremu wolno chyba żyć na złej stopie z geografią. A może uczynił, a raczej napisał to z rozmysłem, by w ten sposób wprowadzić w błąd nieprzyjaciela?... Jeśli tak, to nie biorę mu tego za złe!... Zresztą od Zbrucza do Prutu nie tak znów daleko, więc pomyłka jest wytłumaczoną.

Natomiast nie do darowania jest pomyłka owego berlińskiego introligatora, który wypędził z warsztatu praktykanta za to, iż tenże „przynosił wstyd zawodowi lepiaczy“, gdyż wieczorami pełnił z amatorstwa w teatrze obowiązki statysty. Pan majster był tem zbezczeszczeniem „introligatorskiego fachu“ do tego stopnia oburzony, iż zażądał nadto trzystu marek odszkodowania od matki winowajcy...

Otóż ten pan introligator pomylił się w przyjściu na świat co najmniej o kilka setek lat, lub o kilka tysięcy kilometrów, gdyż w Chinach i dziś jeszcze aktor nie może zostać mandarynem... Cech introligatorski powinien się wyrzec takiego ananasa, godnego, by wypchany, postawiony został w jakiem muzeum za szkłem, bo tylko na takie odznaczenie zasługuje!

Ze względu na to, iż zacząłem od polityki, do niej też powrócę, zwłaszcza, że nielada klina zabił mi w mózgownicę projekt ustawy wyborczej do rosyjskiej konstytuanty. Posłów ma być ośmiuset, miało ich być nawet tysiąc sześciuset, a każdy ma reprezentować okrągło dwieście tysięcy ludności.

Jeżeli w Rosyi odbywają się wybory tak, jak u nas, to jest przy pomocy kiełbasy, można łatwo obliczyć, ile jej potrzeba kilometrów, a ponadto, ile tysięcy wiader „oczyszczonej“, by wyborcy mieli czem przepłukać swe gardła. Jeżeli ma się bowiem używać praw, jakie daje wolność, powinno się ich używać w całej pełni, bez wszelkich ograniczeń.

Obliczam więc długość owej wyborczej kiełbasy przy pomocy różnych metod, jakich mnie w szkołach uczono i dochodzę do przekonania, że możnaby nią opasać bardzo łatwo całą kulę ziemską. Następnie zastanawiałem się, z czego ją sporządzić i miałem o to zapytać jakiegoś znajomego masarza, lecz mi odradzono, gdyż żaden z nich tajemnicy urzędowej nie zdradzi.

Nie podoba mi się też pokrzywdzenie rodziny carskiej, której odmówiono prawa głosu przy wyborach do konstytuanty. Jeżeli bowiem pan Mikołaj Romanow jest obecnie takim samym obywatelem, jak n. p. Iwan Osypowicz Mordochlapow, ciekawy jestem, dlaczego nie miałby korzystać z tych samych praw.

Ze względów natomiast wojennej natury cieszę się bardzo, że wybierać posłów będzie i wojsko, nawet to, co jest na froncie, wobec tego bowiem musi się skończyć wojna, gdyż czasu na nią braknie. Lada chwila powinny się zacząć zgromadzenia wyborcze w pułkach, potem w brygadzie, dywizyi, korpusie i t. d. trudno więc chyba myśleć wtedy o jakiejś nowej ofenzywie.

I wnoszę, że rząd rewolucyjny właśnie z tego powodu odłożył wybory z dnia 30. września na czas nieograniczony, aby nie przeszkodzić ofenzywie, zapowiedzianej przez koalicyę na wszystkich frontach jako odpowiedź za zdobycie przez Niemców Rygi. Taka jest wola Anglii, a jej, jak wiadomo, muszą bezwzględnie ulegać wszyscy członkowie koalicyi.

Czekajmy więc, a może przecież raz doczekamy się końca, obie bowiem walczące strony okazują tyle zaciekłości, iż bardzo łatwo stać się z niemi może to, co z owemi historycznemi Radziwiłłowskiemi myszami, z których po walce zostały tylko... ogony. W zaciekłości zjadła jedna drugą, sama o tem nawet nie wiedząc!...

Na sam najostateczniejszy zaś koniec zostawiłem sobie sprawę mundurków dla młodzieży gimnazyalnej, ze względu na poruszenie tej kwestyi przez pisma codzienne.

Z pomiędzy krajów koronnych jedna tylko Galicya była w tym kierunku „wyodrębnioną“, przymus bowiem mundurkowy obowiązuje jedynie u nas. Czy za rządzenie to odpowiadało celowi, zastanawiać się nad tem nie myślę, gdyż musiałbym powiedzieć, że nie, a nie lubię krytykować rozporządzeń władzy, bez względu na to, jak się ona nazywa. Skoro jednak tak być musi, to obecnie, w tych ciężkich dla każdego czasach, gdy obiecują nam już ubrania papierowe, należałoby wprowadzić jak najdalej idące ułatwienia, bo szkoła chyba na tem nic nie ucierpi, czy uczeń będzie nosił krótkie, czy długie portugalie, przepisanego koloru lub innego. Dla wielu rodzin, i to nawet średnio zamożnych, byłoby to prawdziwem dobrodziejstwem, gdyby można ubranie dla potomka przerobić n. p. z ineksprimabli rodzica, wstydzącego się w nich już między ludźmi pokazać, bo tak się świecą. A wiadomo, że nie wszystko złoto, co się świeci!

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Łap capa, traw capa, łapa caca!

Łamigłówka.
Ułożył Wł. Anhalt. Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół. podadzą rozwiązanie.

Bo – a
ob – l
Sa a
kl – n
ba ń
ow – a
kl – n
pl k
wo – a
sz – m
ko – a
wo – a
ko – a
pl – n
na – a
st – n
Et – a
os – t

Grzebieniówka.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko i imię jenerała polskiego z czasów Kościuszki

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Dawna broń 2 Twierdza w Hiszpanii 3 Zajęcie czegoś 4. Stopień wojskowy 5 Przyrząd fizykalny. 6. Tkanina bawełniana 7. Imię męskie 8 Poseł (z łacińskiego).

Łamigłówka literacka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Znaleźć tytuły utworów wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, podadzą imię i nazwisko angielskiego pisarza

Lemański?
Jeż?
Przybyszewski?
Lemański?
Szaniawski?
Kozicki?
Lam?
Feldmann?
Miciński?
Bukowiński?
Łoś?
Krechowiecki?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K Przepolski, Kraków

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Bąk wąs, ty i ja na kpy

Kwadrat magiczny.
Ułożył J Sosenko, poczta pol 286

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nazwę miejscowości, znanej z pobytu Legionów polskich.

□ — — — — — — — —
— □ — — — — — — —
— — □ — — — — — —
— — — □ — — — — —
— — — — □ — — — —
— — — — — □ — — —
— — — — — — □ — —
— — — — — — — □ —
— — — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Odlewacz dzwonów. 2 Przyrząd do mierzenia ciepła. 3. Powieść Orzeszkowej. 4. Postrach dzieci 5 Zwierzę z rodziny łasicowatych 6. Osoba duchowna 7. Jedna ze stolic europejskich 8 Ptak z rodziny kuraków. 9 Polski kompozytor.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Góra ma ser Iwana B.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Iza! Ten sąd i czop!

Bilety wizytowe.
Ułożył W. Krupicki, Dębica

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

TAD. NARL.

KSA. REY.

M. HICEK

GRZ OTONIMIS.

FR. ZEILISZ.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *J. Kasprowicza*: **Sita.** Indyjski hymn miłości w trzech odsłonach

Rozwiązanie zagadek z Nr. 34.

Łamigłówka:

Tracz
korek
kreda
Zosia
wagon
motyl
sroka
kawka
praca
Asnyk
klika
plewa
tapir
egida
piłka
miska
klucz
badyl
laska
tokaj
śliwa
niebo
pegaz
kroki

Trójkąt magiczny:

S a n d J e r z y
A r y m a t e a
N a r g i l a
D r u m l a
J e s s e
E d y n
R a k
Z a
Y

Zadanie do uzupełnienia: Chłopiec, jak malowanie.

Grzebieniówka:

K o b i e t a m o r s k a
a i f l l c n
r e e f e y e
c g n r s s m
e n d e k y i
r s i d o a a

Zagadka Na progu domu siedział pies
I trzymał w górę en-o-es!

Łamigłówka literacka:

Księżniczka Mary.
Rosmersholm.
Enoch Arden.
Czarny Matwij.
Hulaj dusza!
Odludki i poeta
W matni.
Ifigenia w Taurydzie
Emeryt
Chatka w lesie.
Klucze Piotrowe
Irydyon.

Zadanie do przestawienia: Jedna jaskółka nie czyni wiosny.

Zadanie do przestawienia: Oko pańskie konia tuczy.

Bilety wizytowe: Publicysta Kancelista Doktor praw Kapłan. Miecznik

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planeska Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków. M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Handzlikówna Wadowice, L. Domagalska Czarny Dunajec, B. Książek Miejsce Piastowe, H. Czepewiczówna Nowo Radomsk, Z Szymanek Nowy Sącz, J. Sosenko Munkacz, G. Węgrzyn Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **D. Łodyńska, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Jan Kasprowicz: **Sita** Indyjski hymn miłości w trzech odsłonach. Poznań. Nakładem Ostoi, Spółki wydawniczej. 1917. Czcionkami Drukarni Nakładowej Braci Winiewiczów w Poznaniu.

Grono obywateli wielkopolskich założyło pod nazwą „Ostoi“ spółkę wydawniczą, mającą na celu teraz właśnie dać pisarzom polskim. których twórczość w obecnych warunkach została zatamowaną. możność wydawania ich utworów, przyjść im tem samem z doraźną materyalną pomocą, a społeczeństwu polskiemu dostarczyć strawy duchowej, której potrzebuje teraz więcej, niż kiedykolwiek. Pierwszą seryę wydawnictw rozpoczęto dramatycznym utworem Jana Kasprowicza tego niezaprzeczenie największego syna ziemi wielkopolskiej. Pozatem nabyto cały szereg utworów najwybitniejszych naszych pisarzy, które ukazywać się będą w krótkich odstępach czasu. Zaczątek istnienia „Ostoi“ zapowiada się pomyślnie, potrzebuje jednak ofiarnego poparcia całego społeczeństwa, na co ze wszechmiar zasługuje.

Antoni Chołoniewski: **Duch dziejów Polski.** Kraków 1918. Nakład Autora. Drukarnia Nakładowa w Krakowie.

(Treść: Wstęp. Idea życia zbiorowego. Naród i król. Szlachta polska. Unie. Swobody jednej warstwy. Tolerancya wyznaniowa. Prawo i życie. Wojny polskie. Szerzycielka wolności. Wyprzedzenie Europy. Upadek państwa. Duch dziejów Polski na tle chwili dzisiejszej).

Autor, znany publicysta krakowski, którego liczne prace zwróciły na jego twórczość literacką i dziennikarską powszechną uwagę, ogłosił świeżo dziełko pod powyższym tytułem. Jest ono pełne głębokich myśli i zmusza Czytelnika do zastanowienia się nad misyą dziejową Polski w ubiegłych stuleciach, a zarazem napełnia serce jego ożywczą otuchą, tyle niezbędną w dzisiejszych ciężkich doświadczeniach. Czyta się je jednym tchem ze wzrastającem zainteresowaniem od pierwszej po ostatnią kartkę, od uwag wstępnych po końcowe konkluzye.

Leopold Kronenberg: **„Pieśń o Krakowie“.** Poemat narodowy na tle wielkiej wojny.

Swieżo wyszedł z druku poemat narodowy na tle Legionów polskich pióra znanego autora śpiewek i poezyi żołnierskich, L. Kronenberga, p. t „Pieśń o Krakowie“. Poemat przedstawia pamiętne chwile roku 1914, kiedy to w Krakowie zaczęły się tworzyć Legiony polskie do walki z caratem. Ze względu na myśl patryotyczną poematu, jak również na podniosłe epizody, malujące nastrój Krakowa i Polski z chwilą wybuchu wielkiej wojny, „Pieśń o Krakowie“ zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie zwłaszcza, że cena egzemplarza 60 hal. jest przystępną każdemu. Przedewszystkiem zaś młodzież winna zaznajomić się z tym pięknym poematem epiczno-narodowym.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.